

Georges Simenon

**Maigret i samotny
włóczęga**

Maigret et l'homme tout seul

Przełożyła: Małgorzata Hołyńska

Wydanie oryginalne: 1971

TMN

Wydanie polskie: 1993

Rozdział 1

Była dopiero dziewiąta rano, a upał już dawał się we znaki. Maigret zdjął marynarkę i leniwie przeglądał pocztę, od czasu do czasu rzucał spojrzenie przez okno: liśćmi drzew na Quai des Orfèvres nie poruszał najlżejszy powiew, Sekwana była płaska i gładka jak jedwab.

Działo się to w sierpniu. Lucas i Lapointe – podobnie jak wielu ich kolegów inspektorów – wyjechali na wakacje. Janvier i Torrence wykorzystali swoje urlopy w lipcu. Maigret miał nadzieję, że spędzi większą część września w Meung-sur-Loire we własnym domku, który przypominał wiejską plebanię.

Dzień w dzień prawie od tygodnia zrywała się późnym popołudniem gwałtowna, lecz krótkotrwała nawałnica. Smagani deszczem przechodnie kryli się pod murami domów. Po burzy robiło się chłodniej, powietrze nocą stawało się orzeźwiającej.

Paryż opustoszał. Nawet hałas uliczny różnił się od zwykłego hałasu i chwilami jakby zacihał.

Po mieście kursowały zatłoczone autokary we wszystkich barwach i ze wszystkich stron świata; nieodmiennie w tych samych miejscach wyładowywały turystów pragnących obejrzeć Notre-Dame, Luwr, place Zgody i Gwiazdy, Sacré-Coeur i – obowiązkowo – wieżę Eiffla.

Dziwne, że na ulicach słyszało się jeszcze kiedy niekiedy język francuski.

Wielki szef Policji Kryminalnej był także na urlopie, odpadało zatem męczące składanie mu codziennych raportów. Poczta była mniej obfita; wśród przestępstw i wykroczeń przeważały kradzieże kieszonkowe.

Dzwonek telefonu wyrwał Maigreta z odrętwienia. Podniósł słuchawkę.

– Komisarz pierwszej dzielnicy chce rozmawiać z panem osobiście... Łączyć?...

– Tak, proszę.

Maigret znał go dobrze. Był to człowiek o manierach nieco zbyt wyszukanych, zawsze zapięty na ostatni guzik, zresztą bardzo kulturalny; przez długie lata, zanim wstąpił do policji, był adwokatem.

– Halo!... Ascan?...

– Nie przeszkadzam?
– Mam mnóstwo czasu...
– Telefonuję, bo pomyślałem, że może zainteresuje pana sprawa, która dziś rano spadła mi na barki...
– O co chodzi?
– Morderstwo... Ale nie takie zwyczajne... Za długo by wyjaśniać... Kiedy będzie pan wolny?
– Choćby zaraz.
– Wybacz pan, że go poproszę do naszego komisariatu... stało się to w zaułku mało znanym, w sąsiedztwie Hal...

W roku 1965 Hale paryskie nie były jeszcze przeniesione do Rungis.

– Będę za parę minut.

Pofolgował sobie, mruczając gniewnie pod nosem jak ktoś, komu przerwano pilną pracę, a w gruncie rzeczy był rad, że oderwie się od rutynowych zajęć, które mu wypełniały ostatnie dni.

Wszedł do pokoju inspektorów. Zazwyczaj brał z sobą Janvier, teraz jednak na czas swojej nieobecności musiał go zostawić w biurze jako zastępcę w pełni godnego zaufania i zdolnego do podjęcia stosownych działań.

– Torrence, jedziesz ze mną... Weź jakiś wóz z dziedzińca...

Komisariat pierwszej dzielnicy znajdował się niedaleko, na ulicy des Prouvaires. Maigret udał się wprost do gabinetu Ascana.

– Zobaczy pan coś zdumiewającego, coś, czego jeszcze nigdy nie widziałem. Wolę nic więcej nie mówić... Ej, Torrence, samochód lepiej zostawić tutaj... To dwa kroki stąd...

Okrążyli Hale, od których rozchodziły się potężne wskutek upału fale zapachów. Pod Halami nie próżnowano nawet w sierpniu. Potem zapuścili się w wąskie uliczki. Sklepiki i domy wyglądały mniej lub bardziej obskurnie. Minęli kilku kloszardów i pijaną kobietę, która opierała się plecami o mur, żeby nie upaść.

– Tędy...

Na ulicy Grande-Truanderie Ascan skręcił w zaułek tak ciasny, że nie wjechałaby tam żadna ciężarówka.

– Zaułek Vieux-Four – oznajmił.

Dokoła przepastnego dołu po wyburzonym budynku wznosiło się z dziesięć starych kamienic, również przeznaczonych do rozbiórki; mieszkańców zdążono już ewakuować.

Niektóre ściany podparto belkami w obawie, że się zawalą.

Komisarz policji zatrzymał się przed domem pozbawionym szyb, a nawet większości framug okiennych. Wejście zabito deskami. Ascan usunął dwie z nich,

bardziej obluźowane. Dalej rozciągał się szeroki korytarz.

– Uwaga na schody! Nie są zbyt pewne i brakuje niektórych stopni...

Owionął ich zapach kurzu i zgnilizny, przemieszany z wyziewami z Hal.

Wspięli się na drugie piętro. Pod zapleśniałą ścianą siedział mały, może dwunastoletni chłopak; na widok trzech nadchodzących mężczyzn zerwał się z miejsca i oczy mu rozbłyły.

– Pan jest komisarzem Maigret, prawda?

– Tak.

– No i kto by powiedział, że pana z bliska zobaczę!... Wszystkie pana zdjęcia z gazet wklejam do zeszytu...

– To mały Nicolier... – przedstawił chłopca Ascan. – Na imię ci Jean?

– Tak, proszę pana.

– Jego ojcem jest właściciel jatki na ulicy Saint-Denis. Jedyny, który nie zamknął sklepu na sierpień... No, mów, Jean...

– Było tak, jak już panu mówiłem... Koledzy są akurat nad morzem... nie mam się z kim bawić, więc tak sobie łączę po różnych kątach, których jeszcze nie znam, chociaż urodziłem się w tej dzielnicy... I dziś rano zauważyłem ten dom... Popróbowałem oderwać deski na dole, no i okazało się, że nie są na fest przybite... Wszedłem do środka... krzyknąłem: „Jest tu kto?”. I usłyszałem echo. Niczego nie szukałem. Poszedłem dalej z ciekawości po prostu... Otworzyłem te połamane drzwi na prawo, a tam leżał człowiek... Zbiegłem na dół, tchu nie mogłem złapać... i wpadłem do komisariatu... Czy muszę tam znowu wejść?

– To chyba nie jest konieczne.

– Zostaję tutaj?

– Tak.

Maigret pchnął drzwi tak zbutwiałe, że nie nadawałyby się na podpałkę. W progu zatrzymał się i nagle zrozumiał, dlaczego komisarz policji wolał mu zrobić niespodziankę.

Pokój był dość duży, szyby w oknach zastąpiono grubym papierem i kartonem. Na podłodze – nierównej, z kilkucentymetrowymi szparami – piętrzyły się sterty rupieci, przedmiotów przeważnie połamanych i zupełnie bezużytecznych.

Całą uwagę jednak skupiał na sobie człowiek leżący w ubraniu na zniszczonym sienniku żelaznego łóżka; człowiek niewątpliwie martwy, z plamą zakrzepłej krwi na piersi, ale z twarzą, która zachowała pogodny wyraz.

Włóczęga, sądząc po ubraniu, czemu jakby przeczyły ręce i twarz. Niemłody, długie srebrzyste włosy z błękitnym połyskiem, oczy niebieskie o spojrzeniu nieruchomym.

Maigret, poczuwszy się nieswojo, zamknął mu powieki.

Mężczyzna miał siwe, lekko podkręcone wąsy i bródkę, także siwą, przystrzyżoną à la Richelieu. A przy tym był gładko ogolony.

Widok jego wymanikiurowanych rąk ponownie Maigreta zaskoczył.

– Wygląda na starego aktora w roli kloszarda – mruknął. – Znalaziono przy nim jakieś papiery?

– Żadnych. Ani dowodu, ani starych listów. Inspektorzy z dzielnicy, którzy przyszedli mu się przyjrzeć, nie mogli go rozpoznać. Tylko jednemu wydaje się, że widział podobnego włóczęgę, jak grzebał w pojemnikach na śmieci.

Bardzo wysoki i wyjątkowo barczysty, w za krótkich spodniach z dziurą na lewym kolanie; marynarka, nieledwie w strzępach, leżała w kurzu na podłodze.

– Był już lekarz sądowy?

– Jeszcze nie. Czekam na niego, zjawi się lada chwila. Chciałem, żeby pan przyjechał wcześniej, zanim ktokolwiek czeokolwiek tu dotknie.

– Torrence, zatelefonuj z najbliższego bistra, żeby możliwie szybko przysłali ludzi z wydziału identyfikacji. I niech powiadomią Prokuraturę...

Twarz człowieka leżącego na żelaznym łóżku nie przestawała go intrygować. Dobrze utrzymane wąsy i bródka sprawiały wrażenie, że ledwie wczoraj poddano je zabiegom fryzjerskim. Trudno też było wyobrazić sobie, że te wypiełgnowane ręce z polakierowanymi paznokciami mogły grzebać w odpadkach.

Ale chyba je zbierał, i to przez dłuższy czas. Całe pomieszczenie przywodziło na myśl składowisko staroci. Prawie wszystkie przedmioty były zepsute, połamane. Wysłużony młynek do kawy, konewki z łuszczącą się emalią, pogięte lub dziurawe wiadra, lampa naftowa bez knota i nafty, buty nie do pary.

– Trzeba będzie sporządzić inwentarz tych gratów...

Maigret bez skutku odkręcał kran przymocowanej do ściany umywalki. Domyślał się, że od dawna już odcięto dopływ wody, gazu i elektryczności, jak zresztą we wszystkich innych przygotowanych do zburzenia budynkach.

Ile czasu żył tutaj ten człowiek? Dostatecznie długo, by zgromadzić tyle rupieci. Nie sposób dowiedzieć się tego od dozorczyń bądź sąsiadów, bo ich nie było. Komisarz Ascan wyszedł na klatkę schodową i zwrócił się do małego Nicolier.

– Chcesz się przydać? To stań przed domem, a kiedy ci panowie za parę minut nadjadą, przyprowadź ich tutaj na górę...

– Tak, proszę pana...

– Nie zapomnij ich uprzedzić, że brakuje stopni...

Maigret, krążąc po pokoju i dotykając niektórych przedmiotów, trafił na kawałek świeczki i pudełko zapalek. Świeczka była przylepiona do dna wyszczerbionego kubka.

W ciągu całej swojej kariery nigdy jeszcze nie oglądał tego rodzaju scenerii i

dziwił się coraz bardziej.

- Jak zginął?
- Dostał kilka kul w pierś i brzuch.
- Duży kaliber?
- Średni. Przepuszczalnie trzydzieści dwa...
- Nic nie ma w kieszeniach marynarki?

Wyobrażał sobie, z jakim obrzydzeniem komisarz Ascan, taki wytworny i wrażliwy, przeszukiwał brudne łachmany.

- Kawalek sznurka, guzik, kromka czerstwego chleba...
- Nie było pieniędzy?
- Dwie monety po dwadzieścia pięć centymów...
- A w kieszeniach spodni?
- Brudny skrawek materiału, najwyraźniej używany zamiast chustki do nosa, i

dwa pety w pudełku po pastylkach od kaszlu.

- Brak portfela?
- Tak...

Nawet kloszardzi z bulwarów nabrzeżnych, sypiający pod mostami, mają w kieszeniach jakieś papiery, chociażby dowód tożsamości.

Torrence, który właśnie wrócił, był nie mniej od Maigreta zdumiony.

- Zaraz tu będą...

Moers i jego ludzie z wydziału identyfikacji sądowej wspinali się już po schodach za Nicolierem, rozglądając się w osłupieniu dookoła.

- Morderstwo?
- Tak... Samobójstwo wykluczone... w tym pokoju nie ma żadnej broni.
- Od czego zaczynamy?
- Najpierw weźcie odciski palców, bo przede wszystkim trzeba go

zidentyfikować.

- Szkoda takich wypielegnowanych rąk...
- Niemniej wzięto mu odciski palców.
- Zdjęcie?
- Oczywiście.
- No, no, chłop na schwał... musiał być cholernie silny...

Dały się słyszeć ostrożne kroki zastępcy prokuratora, sędziego śledczego Cassure'a i kancelisty. Wszyscy trzej byli zaskoczeni wyglądem pokoju.

- Kiedy został zabity? – spytał wiceprokurator.
- Zaraz się tego dowiemy, bo właśnie nadchodzi Lagodinec.

Młody, pełen wigoru lekarz uściśnął rękę Maigreta, skłonił się obecnym i podszedł do łóżka. Żelazne łóżko z powykrczanymi nogami – jeszcze jeden grat

znaleziony na ulicy lub na dzikim terenie...

– Ustaliliście, kim jest ten człowiek?

– Nie.

Z niepokojem spoglądali teraz na podłogę: pod ciężarem tyłu osób ugięła się i lada chwila mogła się zapąć.

– Grozi nam lądowanie na niższym piętrze – zauważył Lagodinec.

Dopiero gdy technicy skończyli swoją robotę, doktor przystąpił do obdukcji.

Odsłonił pierś denata i oczom obecnych ukazały się ciemne otwory wlotowe po kulach.

– Trzy pociski wystrzelone z odległości co najmniej metra. Zabójca mierzył dokładnie, prawdopodobnie do śpiącego. W przeciwnym razie otwory nie byłyby w odstępach tak regularnych...

– Zgon natychmiastowy?

– Tak. Została uszkodzona lewa komora serca...

– Sądzi pan, że pociski przebiły ciało?

– Będę to wiedział, kiedy go odwrócę...

I odwrócił go z pomocą fotografa. Tylko jedna kula przebiła na wylot klatkę piersiową i zapewne odnajdzie się w sienniku.

– Jest w tym pokoju woda?

– Nie. Wyłączona.

– Zastanawia mnie, gdzie się mył, bo ciało ma czyste...

– Może pan określić, o której mniej więcej godzinie nastąpiła śmierć?

– Między dziewiętnastą a dwudziestą trzecią... Niewątpliwie sprecyzuję to bliżej po autopsji... Wiecie już, kto to taki?

– Jeszcze nie. Damy jego zdjęcie do prasy... No właśnie, kiedy dostaniemy pierwsze odbitki?

– Za godzinę, zgoda?

Fotograf wyszedł, a inni specjaliści z brygady nadal szukali odcisków palców.

– Chyba nie będziemy już panu potrzebni – mruknął wiceprokurator.

– Ani ja – dorzucił sędzia Cassure.

Maigret z roztargnionym wyrazem twarzy wolno pykał z fajki. Dopiero po kilku sekundach zdał sobie sprawę, że do niego mówią.

– Nie. Będę was na bieżąco informował...

A do lekarza sądowego:

– Przypuszcza pan, że był pijany?

– To by mnie bardzo zdziwiło. Powie nam o tym treść żołądka. Na pierwszy rzut oka nie wygląda mi na pijaka...

– Nie pijący wólczyga – odezwał się półgłosem Ascan. – To raczej rzadki

przypadek...

– A jeśli nie był kloszardem? – odparował Torrence.

Maigret milczał. Wydawało się, że fotografuje oczyma najdrobniejsze detale, każdy z przedmiotów w tym pomieszczeniu. Nie minął kwadrans i technicy jeszcze pracowali, gdy w zaułku zatrzymała się furgonetka Instytutu Medycyny Sądowej; mały Nicolier zbiegł na dół, żeby wskazać drogę dwóm ludziom z noszami.

– Możecie go już zabrać, tak...

Położono go na wznak i raz jeszcze można było zobaczyć jego szlachetną twarz z ładnie przyciętą bródką.

– Ależ ciężki ten facet – stęknął jeden z noszowych.

Nie było rzeczą łatwą zejść z takim balastem po schodach, którym brakowało stopni.

Maigret kiwnął na małego Nicoliera.

– Powiedz mi, chłopcze, czy jest w dzielnicy jakaś szkoła fryzjerska?

– Tak, panie Maigret. Na ulicy Saint-Denis, trzeci dom od naszego sklepu...

Przeszło dziesięć lat temu, kiedy chodziło o znalezienie pewnego przestępcy, wezwano Maigreta do takiej szkoły fryzjerskiej. W Paryżu oczywiście istniało wiele zakładów tego typu i to bardziej luksusowych niż te w pobliżu Hal, gdzie nie należało się spodziewać pierwszej kategorii.

Prawdopodobnie i ta szkoła na Saint-Denis zatrudniała, podobnie jak inne, kloszardów i żebraków poddawanych niezręcznym próbom początkujących uczniów. Uczęszczali do niej mężczyźni i kobiety, wśród nich kandydatki na manikiurzystki.

Ale zanim się tam wybierze, musi zaopatrzyć się w zdjęcie. Na razie mógł tylko czekać na wyniki badania odcisków palców.

Zostawił Moersa i dwóch jego ludzi pracujących w zagraconym pomieszczeniu, a sam w towarzystwie Torrence'a i Ascana zszedł na dół. Wdychając względnie czyste powietrze w zaułku, poczuł ulgę.

– Dlaczego został zabity, jak pan myśli?

– Nie mam pojęcia.

Sklepiona brama wiodła na podwórko pełne starych skrzyń, skrzynek i wszelakich odpadków. Maigret mógł tu przynajmniej odpowiedzieć na jedno z pytań doktora. Tuż przy murze bowiem zobaczył pompę, a obok na bruku wiadro w dość dobrym stanie. Nacisnął rączkę pompy. Po kilku pustych obrotach mechanizm zaskoczył i zaczął działać.

Czyż nie tutaj nieznajomy włóczęga zajmował się swoją toaletą? Maigret wyobrażał go sobie, jak nagi do pasa nadstawia tors pod spływający potok wody.

Pożegnał się z komisarzem Ascanem i wraz z Torrence'em ruszył w stronę ulicy Grande-Truanderie, potem w stronę Hal. Robiło się coraz goręcej, a że musiał

zatelefonować, wstąpił do bistra, które wyglądało w miarę przyzwoicie, i przy okazji zamówił małe piwo. Torrence naśladował swego szefa.

– Połączcie mnie z wydziałem identyfikacji...

Uzyskawszy połączenie poprosił do aparatu inspektora Lebela, który miał sprawdzić odciski palców denata.

– Halo... Lebel?...

Zdążyliście zajrzeć do kartoteki?

– Wracam stamtąd... Nigdzie ani śladu podobnych odcisków.

Jeszcze jedna anomalia. Większość kloszardów była notowana przez policję.

– Dziękuję... Nie wie pan, czy są już zdjęcia?

– Będą gotowe za dziesięć minut... Dziesięć minut, Mestral?

– Powiedzmy: kwadrans.

Znajdowali się tak blisko Quai des Orfèvres, że wystarczyłoby im paru minut, by tam dotrzeć piechotą.

Maigret zostawił Torrence'a w pokoju inspektorów, sam zaś poszedł na górę do laboratorium, gdzie i tak musiał czekać, aż wyschną odbitki.

Odebrał je wreszcie, po trzy egzemplarze każdego zdjęcia, zszedł znów do wydziału i zlecił inspektorowi Lourtie, by dostarczył fotografie do gazet, zwłaszcza południowych.

Jedziemy, Torrence. Mamy godzinę do obiadu, starczy czasu na obchód.

Maigret wręczył Torrence'owi komplet zdjęć.

– Trzeba je pokazać wszystkim właścicielom sklepików knajpek dokoła Hal.

Spotkamy się przy samochodzie.

Wszedł w ulicę Saint-Denis, wąską, lecz rojną i gwarną albowiem skromny ludek tutejszy nie należał do szczęśliwców spędzających wakacje na plaży.

Spoglądał na numery domów. Pod wskazanym mu adresem mieścił się sklep z nasionami. Alejka po jego lewej stronie prowadziła na podwórze. W połowie drogi wznosiły się schody; dwie emaliowane tabliczki zdobiły mur o nieokreślonej barwie, ongi zapewne pomalowany na zielono. „Joseph. Szkoła fryzjerstwa i manikiuru”. Strzałka z dopiskiem „Na antresoli” wskazywała schody. Przybita niżej tabliczka informowała: „Wdowa Cordier. Sztuczne kwiaty”.

Taka sama strzałka i tutaj celowała w schody, tylko napis był inny: „Drugie piętro”.

Maigret otarł pot z twarzy, wspiął się na antresolę, pchnął pierwsze z brzegu drzwi i znalazł się w salce zbyt obszernej, by mogły ją rozjaśnić dwie połówki okien. Mdłego światła dostarczały kule z matowego szkła zawieszzone u sufitu.

Przy ustawionych w dwuszeregu fotelach – z wyraźnym podziałem na męskie i

damskie – pracowali młodzi mężczyźni i kobiety pod kierunkiem osób starszych; nad całością czuwał niski, chudy, prawie zupełnie łysy człowieczek z mocno uczernionymi wąsikami.

– Pan, jak przypuszczam, jest tu szefem.

– Tak, to ja. Joseph.

Mógł mieć lat sześćdziesiąt równie dobrze jak siedemdziesiąt pięć. Maigret odruchowo przyjrzał się siedzącym na fotelach klientom, z pewnością przypadkowo zwerbowanym. Mógłby pomyśleć, że jest w siedzibie Armii Zbawienia lub pod mostem, bo wyłącznie kloszardzi obojga płci służyli za modele młodym adeptom sztuki, uzbrojonym w nożyczki, brzytwy i grzebienie. Mdłe światło potęgowało to niezwykle odczucie. Hałas uliczny, dolatujący przez okna otwarte z powodu upału, sprawiał, że atmosfera tej szkoły stawała się wręcz nierealna.

Zanim pan Joseph zdążył okazać zniecierpliwienie, Maigret podał mu zdjęcie, które wyjął z kieszeni.

– Niby co mam z tym zrobić?

– Obejrzeć... Potem mi pan powie, czy go poznaje...

– A co on przeszkrobał? Pan jest z policji, prawda?

Zrobił się nieufny.

– Komisarz Maigret z Policji Kryminalnej.

Pan Joseph przyjął to obojętnie.

– Szukacie go?

– Nie. Znaleźliśmy go, niestety. Dostał trzy kule prosto w pierś.

– Gdzie się to stało?

– W jego mieszkaniu... Jeśli można to tak nazwać... Wie pan, gdzie mieszkał?

– Nie.

– W rozwalonej kamienicy. Znalazł go chłopak, który się tam kręcił, i zawiadomił komisariat... Poznaje go pan?

– Tak... Tutaj nazywano go Aristo.

– Często przychodził?

– Jak kiedy... Czasem nie zjawiał się przez cały miesiąc, a potem ze dwa, ze trzy razy na tydzień.

– Zna pan jego nazwisko?

– Nie.

– A imię?

– Nie.

– Mało mówił?

– Wcale się nie odzywał... Siadał w pierwszym lepszym fotelu z na pół przymkniętymi oczami i pozwalał z sobą robić, co się chciało... Sam go namówiłem,

żeby zapuścił wąsy i brodę. Moda na nie wraca i młodzi fryzjerzy muszą się nauczyć strzyżenia, co jest trudniejsze, niż się komu wydaje...

- Kiedy to było?
- Przed trzema albo czterema miesiącami.
- Przedtem nie nosił brody?
- Nie... Włosy ma wspaniałe, można z nimi robić co się chce...
- Od jak dawna tu przychodził?
- Od trzech, czterech lat...
- Ma pan tu samych kloszardów...
- Prawie... Wiedzą, że tuż przed dwunastą czy pod wieczór dają każdemu po pięć

franków.

- Jemu także?
- Rozumie się.
- Może znał któregoś z pańskich klientów?
- Nigdy nie widziałem, żeby z kimś rozmawiał; kiedy ktoś do niego mówił,

udawał, że nie słyszy.

Zbliżała się dwunasta. Nożyczki szczękały coraz szybciej. Za parę minut wszyscy hurmem rzucą się do wyjścia, jak to się dzieje w każdej szkole.

- Mieszka pan w tej dzielnicy?
- Mieszkam z żoną na pierwszym piętrze, tuż nad naszymi głowami.
- Spotykał go pan czasem gdzieś w pobliżu na ulicy?
- Chyba nie. A jeśli nawet, to nie zwracałem uwagi... Pan wybacz, ale już pora...

Odszedł, by nacisnąć guzik elektrycznego dzwonka, i stanął za czymś w rodzaju kontuaru, przed którym już zbierała się kolejka.

Maigret wolno schodził ze schodów. Zdawało mu się, że po tylu latach pracy w Policji Kryminalnej i wcześniej w brygadzie patrolującej ulice i dworce, zna całą faunę Paryża. A jednak nie pamiętał, by natknął się kiedykolwiek na kogoś takiego jak ten człowiek zwany Aristem.

Nie spiesząc się zawrócił w stronę samochodu zaparkowanego na rogu ulicy Rambuteau. Niemal jednocześnie nadszedł Torrence ocierając chusteczką spocone czoło.

- Znalazłeś coś?
- Piekarnię na ulicy du Cygne... kupował tam chleb.
- Codziennie?
- Mniej więcej. Najczęściej późnym rankiem...
- Nic tam o nim nie wiedzą?
- Nic. Prawie ust nie otwierał...
- Nigdy nic prócz chleba nie kupował?

– U tej piekarki nie, ale na Coquillère zaopatrywał się w krojoną kiełbasę albo serwolatkę... Na rogu tej ulicy zawsze stoi sprzedawca frytek, można też u niego dostać, zwłaszcza nocą, gorące kiełbaski... Od czasu do czasu koło trzeciej nad ranem nasz człowiek fundował sobie rozek frytek i jedną kiełbasę... Pokazywałem zdjęcia w kilku bistrach. Nieraz go tam widywano, zawsze pił tylko kawę. Nie zamawiał ani wina, ani alkoholu.

Portret Arista – jak go nazywał pan Joseph – stawał się coraz bardziej zadziwiający. Włóczęga zdawał się nie utrzymywać kontaktu z żadną istotą ludzką. Nocami szukał pewnie zatrudnienia przy rozładowywaniu ciężarówek dowożących pod Hale owoce i jarzyny.

– Muszę zatelefonować do Instytutu Medycyny Sądowej – przypomniał sobie Maigret.

Co dawało mu okazję do wypicia tego ranka drugiej szklanki piwa.

– Z doktorem Lagodinec proszę...

– Niech pan zaczeka, już go wołam... właśnie wychodził...

– Halo... Lagodinec? Tu Maigret... Chyba jeszcze się pan nie zabrał do sekcji...

– Wezmę się do tego zaraz po południu...

– Czy dałoby się nie zniekształcać twarzy?... Potrzebne mi będą inne zdjęcia...

– Nic łatwiejszego... Kiedy przyśle pan fotografa?

– Jutro rano, przyjdzie z nim chłopak od fryzjera...

– A co on ma tutaj do roboty?

– Zgoli mu wąsy i bródkę...

Torrence zatrzymał wóz na bulwarze Richard-Lenoir przed domem Maigreta.

– Po obiedzie znowu to samo? – zapytał.

– Tak...

– W tej samej dzielnicy?

– I na bulwarach. Może tam kiedyś nocował...

Pani Maigret poznała natychmiast, że męża coś trapi; udawała, że tego nie spostrzeża.

– Jesteś głodny?

– Nie za bardzo.

Tym razem to on miał ochotę porozmawiać o wydarzeniach tego ranka.

– Widziałem dziś osobnika całkiem niezwykłego...

– Przestępcę?

– Nie, ofiarę. Ten człowiek nie żyje... Miał melinę w pustej kamienicy czekającej na rozbiórkę... Zajął jeden z pokoi nadających się jako tako do zamieszkania i gromadził w nim najróżniejsze rzeczy zbierane na śmietnikach i gdzie się dało...

– Słowem włóczęga.

– Ale przy tym wyglądał jak patriarcha...
Opowiedział żonie o wizycie w szkole fryzjerskiej, pokazał jej zdjęcia denata...
– Oczywiście, trudno wnioskować cokolwiek na podstawie zdjęć pośmiertnych.
– Powinni go znać w dzielnicy.
– Nikt go nie zna z nazwiska ani z imienia. W szkole fryzjerskiej przewano go Aristem... Dzisiejsze popołudniówki zamieszczą te fotografie... Zastanawiam się, czy ktoś z czytelników go pozna...

Zgodnie z tym, co zapowiedział, jadł bez większego apetytu. Nie lubił sytuacji, których nie mógł zrozumieć. Odkrycia, jakich dokonał tego ranka, były dla niego wprost niepojęte.

O drugiej siedział znów przy biurku na Quai des Orfèvres i – po naładowaniu fajki – uporał się z całą korespondencją. Wtedy przyniesiono mu gazety. Dwie z nich zamieściły zdjęcia Arista na pierwszej stronie.

„Czy znacie tego człowieka?” – pytano w jednej. W drugiej opatrzone wzmiankę nagłówkiem: „Nieboszczyk bez nazwiska”.

W korytarzu zebrali się już dziennikarze. Maigret przyjął ich, chociaż nie miał im nic do powiedzenia prócz tego, że usiłuje zidentyfikować włóczęgę zabitego w zaułku Vieux-Four.

– Nie mogło to być samobójstwo?
– Ani w pokoju, ani w całym domu nie znaleziono żadnej broni.
– Można tam wejść, żeby zrobić zdjęcia?
– Zwłoki oczywiście zostały już zabrane.
– Chodzi o zdjęcia wnętrza.
– Jeśli sobie życzycie... Drzwi pilnuje wartownik. Powiecie mu, że dostaliście ode mnie zezwolenie.

– Wydaje się, że pana coś gnębi, komisarzu.
– Staram się zrozumieć i mam nadzieję, że prędzej czy później zrozumiem. Tym razem niczego przed panami nie ukrywam. Powiedziałem wszystko, co wiem. Im więcej będzie się na ten temat mówiło, tym lepiej dla sprawy...

Okolo czwartej rozdzwoniły się telefony. Niektóre od żartownisiów, niektóre od maniaków, rzecz zwykła w podobnych okolicznościach. Jakaś dziewczyna pytała:

– Ma brodawkę na policzku?

– Nie.

– No to nie on...

Cztery czy pięć osób przyszło na Quai des Orfèvres. Maigret rozmawiał z nimi cierpliwie, pokazywał im zdjęcia.

– Poznają go państwo?

– Przypomina trochę jednego z moich wujów, który kilka razy uciekał z domu...

Ale nie... Ten tutaj był wysoki, prawda?

– Metr osiemdziesiąt mniej więcej.

– Wuj był bardzo niski i chudziutki...

Tego dnia, po raz pierwszy od tygodnia, nie nadeszła burza, powietrze było ciężkie. Tuż przed piątą wrócił z obchodu Torrence.

– Znalazłeś coś?

– Tyle co nic... Pamięta go włóczęga spod Pont-Marie, ale niezbyt dokładnie... nie wiem, czy staremu można wierzyć... Mówi, że parę lat temu jakiś obcy sypiał pod tym mostem... i nie był kontaktowy... Część nocy spędzał ponoć w Halach. To wszystko, co o nim wiadomo...

– Nazwisko, imię, przydomek?

– Tak, przydomek. Niemowa.

– Nic więcej?

– Co jakiś czas kupował świeczkę.

O szóstej Maigret otrzymał wreszcie bardziej precyzyjne informacje od doktora Lagodinec, który zatelefonował po sekcji.

– Wyniki prześlę panu jutro rano, teraz tylko powiem z grubsza, co ustaliłem: ten człowiek jest młodszy, niż się na pozór zdawało. Ile by pan mu dał lat, komisarzu?

– Sześćdziesiąt pięć? Siedemdziesiąt?

– Stan organów wewnętrznych i arterii każe przypuszczać, że najwyżej pięćdziesiąt pięć.

– Miał oczywiście trudne życie... Co było w żołądku?

– Powiem panu najpierw, że zabito go między drugą w nocy a piątą rano, raczej bliżej trzeciej niż piątej. Ostatni posiłek, na poły przetrawiony, to frytki i kiełbasa... Jadł około drugiej, prawdopodobnie tuż przed powrotem do domu i przed zaśnięciem...

– I ktoś skorzystał z tego, że śpi...

– Dlaczego? – zaoponował lekarz. – Zabójcą mógł być ktoś, komu ufał i kogo się nie obawiał...

– Nie myślę, by miał do kogokolwiek zaufanie. Nie przechodził żadnych chorób?

– Żadnych... Był w pełni sprawny. Mocnej budowy i wyjątkowo odporny...

– Dziękuję, doktorze... Czekam na pański raport. Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, pošlę po niego jutro rano...

– Bardzo proszę, tylko nie przed dziewiątą.

– Więc o dziewiątej.

Najbardziej zaskoczył Maigreta wiek Arista. Zdawałoby się, że był włóczęgą od kilku, jeśli nie od kilkunastu lat poza tym kloszardzi rekrutują się z ludzi znacznie starszych. Skłonni są także do nawiązywania kontaktów. Jak Paryż długi i szeroki,

wszyscy się tu mniej więcej znają i każdy nowo przybyły budzi ciekawość weteranów.

– I co jeszcze, Torrence?

– Tyle co nic. Prócz starego spod Pont-Marie nikt go sobie nie przypomina. A przecież niektórzy włóczą się tak od dziesięciu lat z górą... Byłem w trafice najbliższej od jego domu. Nieraz tam kupował zapalki...

– A papierosy?

– Nie. Zadowalał się zbieraniem petów na trotuarze.

Zadzwoił telefon.

– Halo! Komisarz Maigret?...

Głos kobiety i raczej młody.

– Tak, to ja... Z kim mam przyjemność?

– Moje nazwisko nic panu nie powie... Czy człowiek, którego znaleźliście dziś rano, miał bliznę na głowie?

– Muszę przyznać, że nic o tym nie wiem... Jeśli miał bliznę, to, jak się spodziewam, lekarz zaznaczy to w raporcie, a raport otrzymam jutro rano...

– I nie domyśla się pan, kto to może być?

– Nie. Na razie.

– Zadzwoię do pana jutro w ciągu dnia...

I nie dodając nic więcej, odłożyła słuchawkę. Maigret doszedł wówczas do wniosku, że nie musi czekać do jutra, aby odpowiedzieć na pytanie młodej kobiety. Połączył się ze szkołą fryzjerską i trafił na samego pana Josepha.

– Tu komisarz Maigret. Rano zapomniałem o coś jeszcze pana zapytać. Czy pan osobiście czesał Arista?

– Tak... Żeby pokazać uczniom...

– Nie zauważył pan blizny pod włosami?

– Owszem... Nie śmiałem wypytywać, co mu się przydarzyło...

– Duża?

– Ze sześć centymetrów i dość szeroka, bo chyba nie zsztyto mu rany...

– Była bardzo widoczna?

– Nie wtedy, kiedy się go uczesało. Miał wspaniałą czuprynę, już to panu mówiłem...

– Dziękuję...

Oto więc pierwszy kontakt nawiązany w ciągu kilku sekund. Gdzieś w Paryżu żyje młoda kobieta lub dziewczyna, która znała Arista, wiedziała o bliznie. I umyślnie przerwała połączenie, zanim zdążył ją o cokolwiek spytać. Czy aby zatelefonuje jutro, jak to zapowiedziała?

Niecierpliwł się. Spieszno mu było nadać imię nieznanemu i dowiedzieć się,

dlaczego prowadził ten tryb życia.

Jeśli się weźmie pod uwagę fakt gromadzenia różnorodnych przedmiotów w zaułku Vieux-Four, można by podejrzewać, że to wariat lub maniak. Po co zbierał i znosił do pokoju tyle rzeczy nie nadających się ani do użytku, ani na sprzedaż?

Maigret jednak nie mógł się pogodzić z myślą, że był to człowiek obłąkany.

Telefon znów zadzwonił. Po ukazaniu się w prasie zdjęć denata Maigret, pełen nadziei, czekał na telefony.

– Halo?... Komisarz Maigret?...

– Tak... Z kim mam przyjemność?...

Kolejna rozmówczyni, chyba od tamtej starsza, również nie ujawniła swego nazwiska i – o dziwo – zadała identyczne pytanie.

– Czy ma bliznę na czubku głowy?...

– A zna pani kogoś z taką blizną i czy jest on podobny do tego na zdjęciu?

Milczała.

– Dlaczego pani nie odpowiada?

– I pan też mi nie odpowiedział.

– Tak, ma bliznę mniej więcej sześciocentymetrową na czubku głowy.

– Dziękuję panu.

I tak jak jej poprzedniczka przerwała natychmiast połączenie. A zatem te dwie kobiety, które znały Arista, nie porozumiewały się z sobą, bo w przeciwnym razie poprzestałyby na jednym telefonie.

Jakże je odnaleźć wśród pięciu milionów paryżan? I dlaczego obie chcą zachować incognito?

Psuło mu to humor; zrzedząc pod nosem wyszedł z biura. Mimo to czegoś się jednak dowiedział: samotny włóczęga nie zawsze był tak samotny.

Znał dwie kobiety. I te dwie pamiętające go kobiety chciały za wszelką cenę uniknąć przesłuchania.

Dlaczego?

Zrobiło się trochę chłodniej, chociaż nie zanosilo się na burzę. Zerwał się tylko lekki wiatr rozgarniający różowe obłoczki na niebie, które przypominało dekorację w operze.

Maigret zdecydował się na szklanekę piwa. Obiecywał doktorowi Pardon, że nie będzie przesadzał z piciem. Ale czy przesadzał wypijając dziennie trzy piwa z beczki?

Usiłował nie myśleć o denacie. Mimo to zastanawiał się, kto mógł wysledzić jego niesamowitą kryjówkę i dlaczego go zabił.

Gniewnie wrzucił ramionami. Wiedział, że niesłusznie postępuje dążąc, jak zawsze na początku śledztwa, do natychmiastowego rozwiązania zagadki. Za każdym razem ogarniała go wtedy złość, jak gdyby los się na niego zawziął.

Potem w ciągu następnych dni prawda sama wychodziła na jaw. Czy i teraz tak będzie?

Wracając do domu próbował pogwizdywać na schodach.

Rozdział 2

Nazajutrz rano Maigret, otrząsnąwszy się z przygnębienia, ruszył pieszo na Quai des Orfèvres. Po niemal pustych ulicach sunęły wozy zakładu oczyszczania miasta, pozostawiając za sobą szerokie wilgotne pasy; nad parującą Sekwaną unosiła się mgiełka.

Przy schodach wydziału kryminalnego czekał na niego obwieszony aparatami reporter. Maigret dobrze znał tego rudzielca, który nie miał zwyczaju pomijać najdrobniejszych sensacji. Pracował dla pewnej agencji prasowej i nieraz tkwił tu godzinami, czyhając na nowiny. Sprawiał wrażenie wyrośniętego chłopca: gdy wyrzucało się go za drzwi, wracał innymi albo przez okno.

Nazywał się Marcel Caune – czyli Coco, jak ochrzcili go koledzy.

Z braku laku zrobił teraz Maigretowi zdjęcie na schodach, chyba dwusetne z kolei.

- Wezwał pan świadków?
- Nie.
- A jeden już siedzi w korytarzu.
- Nic o tym nie wiem.

Na ławce siedział istotnie jakiś bardzo stary, ale jeszcze krzepki mężczyzna; na widok Maigreta żwawo zerwał się z miejsca.

- Czy mogę panu coś powiedzieć, panie komisarzu?
- W sprawie Hal?
- Tak... w sprawie morderstwa w zaułku Vieux-Four...
- Przyjmę pana za chwilę...

Zgodnie ze zwyczajem zajrzał najpierw do pokoju inspektorów. Wszyscy siedzieli już na swoich miejscach w koszulach z podwiniętymi rękawami; okno było rozwarte na oścież. Torrence czytał gazetę. „Komisarz Maigret na tropie” obwieszczał jeden z tytułów.

Ów trop w rzeczy samej nie istniał.

- Nic nowego, chłopcy?

– Trochę anonimów, jak zwykle. Dwa listy od naszych stałych świrusów...
Z gabinetu Maigret zatelefonował do szkoły fryzjerskiej.

– Pan Joseph?... Chciałbym pana prosić o przysługę... Czy mógłby pan przysłać do Instytutu Medycyny Sądowej któregoś z pańskich uczniów, żeby zgolił wąsy i brodę Arista?... Naturalnie, koszty pokryjemy...

– Wolę przyjść osobiście, to delikatna robota...

Maigret połączył się następnie z wydziałem identyfikacji. Odpowiedział Moers.

– Jest już Mestral?

– Akurat wchodzi.

– Zechce pan go wysłać do Instytutu Medycyny Sądowej? Zastanie tam fryzjera, który ma zgolić wąsy i brodę naszemu nieboszczykowi. Potrzebuję kilku dobrych zdjęć we wszystkich możliwych ujęciach. To pilne...

Ledwie odłożył słuchawkę, zaterkotał telefon.

– Halo!... Komisarz Maigret?

Głos wydał mu się znajomy.

– To ja rozmawiałam z panem wczoraj o zbrodni pod Halami...

Głos tej młodszej.

– Przypuszczam, że chce mi pani zadać to samo pytanie.

– Tak.

– Zresztą nie pani jedna...

– Ach!

– Telefonowała do mnie jakaś inna kobieta i mówiła słowo w słowo to samo...

– Co jej pan odpowiedział?

– Powtórzę to pani, jeżeli zobaczy się pani ze mną albo jeśli poda mi pani swoje nazwisko i adres...

– Aż tak mi na tym nie zależy!

– Jak pani uważa...

Tym razem Maigret rzucił pierwszy słuchawkę na widełki. „Szelma” – warknął. Co najmniej trzy osoby mogły zidentyfikować Arista: dwie kobiety pytające o bliźnię i, oczywiście, zabójca.

Maigret otworzył drzwi na korytarz. Niski szczupły jegomość pospiesznie wstał z ławki.

– Obawiałem się już, że mnie pan nie przyjmie.

W jego ruchach, postawie i w sposobie mówienia uderzyło Maigreta coś, czego nie potrafił określić.

– Nazywam się Emile Hugon. Mieszkam w lokalu po rodzicach przy ulicy Lepic i tam się zresztą urodziłem.

– Proszę spocząć.

– Stary jestem, jak pan widzi, osiemdziesiąty piąty krzyżyk.

Był najwyraźniej bardzo dumny, że w tym wieku i w tak dobrej kondycji dotarł aż tutaj na własnych nogach.

– Zszedłem na piechotę z Montmartru, dzień w dzień chodzę co najmniej przez dwie godziny.

Maigret wiedział, że na nic się zda ponaglanie staruszka pytaniami.

– W dzielnicy tytułują mnie Pułkownikiem. A ja, uważa pan, nie byłem pułkownikiem tylko kapitanem... W czternastym roku, kiedy wybuchła wojna, byłem w szkole podoficerskiej... Walczyłem pod Verdun i na Chemin des Dames... Spod Verdun wyszedłem cało... Na Chemin des Dames dostałem pociskiem w gołeń i do dzisiaj kuśtykam. Podczas drugiej światowej miałem już swoje lata i nie chcieli mnie wziąć do armii...

Wyczuwało się, że jest z siebie zadowolony, i Maigret uzbroił się w cierpliwość, mając nadzieję, że Pułkownik nie wda się w szczegółowe opisywanie swego życia.

Nic takiego się nie stało, bo Emile Hugon nagle zapytał:

– Wiecie już, kim jest ten człowiek?

– Jeszcze nie...

– Może się mylę, ale zdziwiłbym się, gdyby to nie był Marcel Vivien...

– Znał go pan osobiście?

– Miał w podwórku warsztat tuż pod moim mieszkaniem. Wychodząc na miasto mówiłem mu zawsze dzień dobry...

– Kiedy to było?

– Prawie zaraz po drugiej wojnie, w czterdziestym piątym...

– Ile miał wtedy lat?

– Około trzydziestu pięciu... Chłopak wysoki, silny, z twarzą inteligentną i otwartą...

– Kim był z zawodu?

– Stolarzem, ebenistą... Uczył się na kursach sztuki dekoratorskiej...

Specjalizował się w renowacji antyków... Widywałem u niego piękne mebelki, wszystkie zdobione markieterią...

– Mieszkaliście w tym samym domu?

– Nie. On miał tam tylko przeszkloną pracownię. Pojawiał się rano, odchodził wieczorem.

– I naprawdę był podobny do tych zdjęć z gazet?

– Mógłbym przysiąc. Tyle że nie nosił wąsów ani brody...

– Nie wie pan, czy był żonaty?

– Tak. Żona była w tym samym wieku co on; nieraz wstępowała po niego przed fajrantem... Mieli córeczkę siedmio – czy ośmioletnią, często wpadała po szkole, żeby

ojca uściskać...

– Kiedy stracił go pan z oczu?

– W końcu czterdziestego piątego albo na początku czterdziestego szóstego...

Ktoregoś ranka nie otworzył warsztatu i nie pokazał się ani nazajutrz, ani w dni następne... Najpierw myślałem, że choruje... Potem zjawiała się jego żona... Miała własny klucz. Weszła do środka i bardzo długo tam siedziała, jak gdyby spisywała inwentarz...

– Od tamtej pory już jej pan nie spotykał?

– Jeszcze mieszka w naszej dzielnicy i nieraz coś kupuje na wózkach przy ulicy Lepic... Przez wiele lat widywałem z daleka ich córkę. Wydorosła i chyba wyszła za mąż...

– Co stało się z meblami z warsztatu?

– Zabrała je pewna tapeciarka... A w pracowni zainstalował się ślusarz...

Maigret pokazał mu różne zdjęcia człowieka z zaułka Vieux-Four. Pułkownik obejrzał je uważnie.

– Nie zmienię zdania. Założyłbym się, że to on. Od dawna jestem na rencie. Latem siadam sobie na jakiejś ławeczce przy skwerku albo na tarasie kawiarni i popatruję na przechodniów... Staram się odgadnąć, czym się zajmują, jakie życie prowadzą. I tak nabrałem zwyczaju obserwować...

– Nie wie pan, czy ten człowiek nie uległ jakiemuś wypadkowi?

– Nie miał samochodu...

– Różne bywają wypadki... Nigdy nie zranił się w głowę?

Pułkownik klepnął się dłonią w czoło.

– Tak, rzeczywiście... Było to w pełni lata. Upał taki jak teraz... Pracował na podwórzu, naprawiał krzesło, któremu brakowało jednej nogi... Przyglądałem mu się przez okno i widziałem, jak doniczka z geranium spadła biedakowi na głowę. To lokatorka z trzeciego piętra, panna Blanche, zepchnęła ją niechcący, gdy podlewała kwiaty... A on nie chciał iść do szpitala ani do lekarza... Przemył sobie ranę, potem aptekarz z przeciwka założył mu opatrunek...

– Szrama była widoczna?

– Przykrywały ją włosy, miał włosy bardzo gęste, proste, dosyć długie...

– Żadnych innych szczegółów pan nie pamięta? Nigdy już nie widział go pan w dzielnicy?

– Nigdy...

– Ale żona i córka nadal tam mieszkały? To by znaczyło, że nie wyprowadził się razem z nimi...

– Faktycznie.

– Nie wie pan, czy pił?

– Z pewnością nie pił... Koło dziesiątej rano zamykał na parę minut warsztat i szedł napić się kawy w pobliskiej knajpce...

– Zostali jeszcze w waszej kamienicy jacyś lokatorzy z czterdziestego piątego roku?

– Chwileczkę, niechaj się zastanowię... Dozorczyńni... ta sama... straciła męża, był policjantem... bardzo się posunęła... Panna Blanche, o której panu wspomniałem, jeszcze żyje, ale przykuta do fotela i zdaje się niezupełnie przy zdrowych zmysłach... Na innych piętrach... Trabuchetowie z trzeciego... Trabuchet pracował w urzędzie podatkowym. Jest także na emeryturze. Wszyscy się postarzelili, rzecz jasna...

– Sądzi pan, że rozpoznaliby Marcela Vivien?

– Możliwe, ale okna Trabuchetów wychodzą na ulicę... Mniej mieli okazji, żeby widzieć, co się dzieje na podwórzu...

– Dziękuję, że pan nas odwiedził, panie Hugon... Pańskie zeznania są dla nas niewątpliwie bardzo cenne... Jeden z moich inspektorów zaprowadzi teraz pana do osobnego pomieszczenia w końcu korytarza i proszę, by mu pan powtórzył wszystko, co mi pan powiedział...

– Zawezwąż mnie na świadka do sądu przysięgłych?

Podniecała go sama myśl o tym.

– Wolnego! Najpierw musimy schwycić mordercę i ustalić tożsamość ofiary...

Maigret otworzył drzwi do pokoju inspektorów, skinął na Lourtie'ego, który najlepiej radził sobie z maszyną do pisania, wyjaśnił o co chodzi i powierzył jego pieczy Pułkownika.

Zdawało się, że trzymają już w ręku koniec nitki od kłębka... Maigret zamierzał jechać na ulicę Lepic i tylko czekał na fotografie. Wiedział, że Mestral pracuje szybko. Aby ukryć zniecierpliwienie, przerzucał pocztę.

O wpół do jedenastej wbiegł Mestral z plikiem odbitek.

– To go odmłodziło, nie uważa pan, komisarzu?

– Tak... Zresztą nie był stary... Doktor daje mu najwyżej pięćdziesiąt pięć lat... Ile kopii pan zrobił?

– Po pięć w każdej pozycji, jeśli się tak można wyrazić mówiąc o umarlaku. A ten pański fryzjer, komisarzu, był cholernie roztrzęsiony, bałem się, że mi zemdleje...

– Dziękuję. Niech pan trzeplnie więcej odbitek, trzeba je rozesać do wszystkich dzienników...

Maigret wsunął do kieszeni odbitki, po dwie z każdego ujęcia; jeden komplet wręczył rudzielcowi Coco, najgorliwszemu spośród fotoreporterów paryskich.

– To dla pana. Odwaliliśmy za was część roboty. Są to zdjęcia denata po ogoleniu... Pańska agencja może je powielić i przesłać do wybranych przez nią gazet...

Dwa zestawy otrzymał także Leduc, z grona najmłodszych inspektorów.

– Zaniesiesz je do dwóch czołowych dzienników wieczornych. Najwyższa pora, bo w istocie wychodzą spod prasy wczesnym popołudniem... I uwaga: oddasz je do rąk własnych naczelnego albo sekretarza redakcji...

Co powiedziawszy ruszył w głąb korytarza, gdzie w niewielkim pomieszczeniu biurowym Lourtie pisał na maszynie pod dyktando Pułkownika. Pułkownik znów dziarsko stanął na baczność przed komisarzem.

– Niech pan siedzi... Chcę panu tylko coś pokazać... I wyciągnął z kieszeni świeżo zrobione zdjęcia. Ledwie Hugon rzucił na nie okiem, twarz mu się rozjaśniła.

– To on. Jestem w stu procentach przekonany, że się nie mylę. Postarzał się, naturalnie, ale to Vivien...

Maigret dał znak, by Lourtie nie przerywał pracy, i wrócił do pokoju inspektorów.

– Wkładaj kapelusz, Torrence...

– Daleko jedziemy?

– Na Montmartre... Ściślej: na ulicę Lepic... – I podsunął mu zdjęcia.

– Kazał go pan ogolić?

– Dzisiaj rano... Właśnie zgłosił się do mnie pewien kapitan w stanie spoczynku i twierdzi, że poznaje Arista, chociaż nie widział go od lat dwudziestu...

– Kim ten Aristo był?

– Ponoć ebenistą... miał warsztat na ulicy Lepic i zniknął z dnia na dzień...

– Dwadzieścia lat temu?

– Tak.

– Miał rodzinę?

– Podobno żonę i córkę...

– I one również zniknęły?

– Nie. Przez dłuższy czas nie opuszczały dzielnicy...

Mały czarny wóz policyjny wjechał w zatłoczoną ulicę Lepic, gdzie królowali sprzedawcy zieleniny.

Numer 65 bis znajdował się w górnej części ulicy, po stronie lewej.

– Zaparkuj gdzie się da i wracaj tutaj. Będę prawdopodobnie u dozorczyń.

Konsjerżka nie była jeszcze taka stara. Przez oszklone drzwi dostrzegła Maigreta i otworzyła je uprzejmie, gdy tylko zapukał.

– Czego pan sobie życzy?

– Komisarz Maigret z Policji Kryminalnej...

Zdziwiła się.

– W sprawie któregoś z lokatorów?

– W sprawie kogoś, kto był kiedyś lokatorem...

– No więc się nie pomyliłam...

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Wczoraj widziałam zdjęcie w gazecie i zaraz sobie pomyślałam, że to pan Vivien... Nawet mówiłam o tym mleczarce, ale powiedziałam: to po prostu niemożliwe, żeby o niego chodziło... Taki porządny człowiek, pracowity... Nigdy bym nie uwierzyła, że może zostać kloszardem...

W chwili gdy Maigret pokazywał jej zdjęcia, wszedł Torrence.

– To jeden z moich inspektorów... Proszę przyjrzeć się uważnie tym fotografiom...

– Och, nie potrzebuję się im długo przyglądać... To on... Wczoraj trochę mnie zmyliły te wąsy i bródka... Ostrzyżono go. – I dorzuciła nie odrywając oczu od zdjęć:

– W głowie mi się nie mieści...

– Pamięta pani, jak to było, kiedy stąd odchodził? Uprzedzał panią? Odesłał klientom meble, które naprawiał w warsztacie?

– Wcale tak nie było. Najzwyczajniej w świecie poszedł sobie i nikt go już w dzielnicy nie widział...

– Nie zameldowano policji o zniknięciu?

– Nie wiem, czy jego żona meldowała... Rzadko tu przychodziła w ciągu dnia... Co innego córka, tak, ona prawie co dzień wpadała, żeby go ucałować... Mieszkali niedaleko, na Caulaincourt, nie znam numeru, koło farbiarni...

– Spotykała pani potem jego żonę?

– Dosyć często przy straganach... W dalszym ciągu robiła zakupy na ulicy Lepic... Trochę posiwiiała i bardzo schudła, a była raczej przy kości...

– Rozmawiała z panią?

– Zerknęła czasem w moją stronę, ale jakby mnie nie poznawała...

– Kiedy widziała ją pani ostatnim razem?

– Będzie dobrych kilka miesięcy... Może rok...

– A dziewczynka? Powinna już mieć dwadzieścia osiem lat.

– Słyszałam, tylko nie pamiętam od kogo, że wyszła za męża i ma dzieci...

– Mieszka na Montmartrze?

– Chyba tak. Nie wiem gdzie.

– Czy mogę na chwilę wejść do warsztatu?...

– Proszę iść tym korytarzem, tam są drzwi na podwórko. W warsztacie pracuje teraz ślusarz, pan Benoit...

Benoit, mężczyzna mniej więcej trzydziestoletni, okazał się bardzo uprzejmy.

– Czym mogę służyć?

Maigret przedstawił się.

– Pewnie przychodzi pan w sprawie tego faceta, który dał sobie wpakować w pierś trzy kule?... Mówiono dziś o nim w bistro, gdzie rano chodzę na kieliszeczek...

– Znał go pan?

– Nie znałem, oczywiście. Miałem dziesięć lat, kiedy stąd odszedł... Jego miejsce zajął tapicer i siedział tu z piętnaście lat. Nie był już całkiem młody i postanowił resztę życia spędzić na wsi. Wtedy właśnie wynająłem ten warsztat...

– Nikt pana nie odwiedzał, nie rozpytywał o Marcela Vivien?

– Nikt... Ale ci starsi z ulicy Lepic od wczoraj tylko o nim mówią. Dziś rano w bistro rozprawiano tylko na jego temat. Ludzie starzy i w pewnym wieku jeszcze go pamiętają i nie mogą zrozumieć, dlaczego tak marnie skończył... Był podobno przystojny, wysoki, silny, miał dobry fach, łatwo zarabiał na życie... Aż tu nagle ulotnił się, nic nikomu nie mówiąc...

– Nawet żonie...?

– Podobno... Nie wiem, ile w tym prawdy... Powtarzam, co usłyszałem... Dopiero w jakiś czas potem, bodajże po tygodniu, przyszła tutaj, żeby popytać. To wszystko, co mi wiadome, a jeśli chce pan dowiedzieć się czegoś więcej, wystarczy pójść do tego bistra obok...

– Dziękuję panu...

Osobowość zamordowanego nabierała coraz wyraźniejszych barw.

Maigret znów znalazł się na ulicy i razem z Torrence'em wszedł do sąsiedniego bistra. Od razu dawało się zauważyć, że klientela przy barze – a ściślej: przy staromodnej ladzie – składa się wyłącznie ze stałych bywalców.

– Co panom podać?

– Dla mnie piwo.

– I dla mnie – rzekł Torrence.

Dolatywał tu przyjemny zapach warzyw i owoców z małych wózków rozstawionych wzdłuż trotuaru. Obsługiwał ich sam gospodarz.

– Pan komisarz Maigret? – spytał.

– Tak.

– Pewnie przyszedł pan w związku z tym człowiekiem, którego zdjęcia były we wczorajszych popołudniówkach?...

Wszyscy obecni patrzyli teraz na komisarza, należało tylko czekać, kto z nich pierwszy zabierze głos.

Pierwszym, który się odezwał, był rzeźnik, potężny mężczyzna z szerokimi barkami, w poplamionym krwią fartuchu.

– Skąd pan wie, że nie dał nura z jakąś siksą? A kiedy ona go rzuciła, mógł nie mieć odwagi, żeby stawić czoło własnej babie... Prawie przez dziesięć lat zatrudniałem pomocnika. Spokojniaczek był jakich mało. Co nie przeszkadza, że raptem nawiał cichaczem. Z osiemnastolatką, a on miał czterdzieści pięć. W dwa lata

później odnalazł się na liście bezrobotnych w sztrasburskim biurze pośrednictwa pracy...

Słuchacze przytakiwali głowami. Ta typowa dla dzielnicy robotniczej knajpka gromadziła przeważnie rzemieślników, drobnych kupców, emerytów – spotykali się tu późnym rankiem przy kieliszku.

– Czy któryś z was widział go po tym zniknięciu?

Wymienili spojrzenia i jakiś chudzielec w skórzanym fartuchu wyraził opinię ogółu:

– Nie był taki głupi, żeby pokazywać się w dzielnicy.

– Znaliście jego żonę?

– Nie. Co do mnie, to nawet nie wiem, gdzie on mieszkał. Tylko tutaj go widywałem, kiedy pił tę swoją kawę... Nie był rozmowny...

– Uważacie, że zadzierał nosa?

– Nie, nie to. Po prostu nie miał chęci do gadania.

Maigret popijał piwo. Tego dnia pierwsza szklanka. Liczył je skrupulatnie. Gdy zobaczy się znów z doktorem Pardon, nie bez dumy przedstawi mu rachunek. Jeśli chodzi o tytoń, to niestety nie miał się czym chwalić; wypalał w ciągu dnia mnóstwo fajek. Człowiek nie może odmawiać sobie wszystkich przyjemności tylko dlatego, że kończy pięćdziesiąt pięć lat.

– A ja raz go, zdaje się, widziałem na ulicy Cossonnerie... ale włosy miał całkiem białe i ubrany był jak żebrak. Pomyślałem, że to nie może być on, i poszedłem dalej... – powiedział zasuszony staruszek, sączący aperitif bardzo modny przed czterdziestu laty i teraz rzadko kiedy zamawiany.

– Dawno widział pan tego żebraka?

– Ze trzy miesiące temu... Może więcej, bo wiosna była spóźniona, a jeszcze się wtedy nie zaczęła...

– Dziękuję, moi panowie...

– Nie ma za co. Do pańskich usług. Spodziewam się, że dorwiecie tego szubrawca, który mu strzelił w kałdun.

Maigret i Torrence ruszyli w stronę ulicy Caulaincourt. Czyżby zamierzali pukać do wszystkich drzwi i pytać wszystkie dozorcynie, czy żona Viviena jeszcze mieszka na Montmartrze?

Znużony upałem Maigret nie czuł się na siłach podołać temu zadaniu i zdecydował się zarzucić kotwicę w komisariacie przy ulicy Lambert.

Pamiętał, że swego czasu w podobnych okolicznościach zaginął pewien człowiek, nie wiadomo jednak, czy kierował się tymi samymi pobudkami co ebenista.

Był to dobrze sytuowany przemysłowiec z Paryża, tuż po pięćdziesiątce, pozornie wolny od wszelkich kłopotów. Opuścił żonę i dwoje dzieci: dwudziestojednoletni syn

studiował na uniwersytecie; córka, o trzy lata od brata młodsza, zachowywała się nienagannie.

Pewnego ranka o zwykłej porze wyjechał do swojej fabryki w Levallois. Sam prowadził samochód... I oto ślad po nim zaginął na przeciąg kilku lat.

Samochód zostawił w pobliżu ulicy du Temple. Nie miał kochanki. Nie cierpiał na żadne poważne dolegliwości i – jak zeznał jego lekarz – mógł jeszcze długo cieszyć się doskonałym zdrowiem.

Policja szukała go wszędzie, tylko nie tam, gdzie przebywał. W istocie bowiem z dnia na dzień postanowił rozpocząć życie kloszarda. U handlarza starzyzną z ulicy Blancs-Manteaux wymienił swoje ubranie na autentyczne łaachmany. I odtąd przestał się golić.

W trzy lata później jeden z dostawców fabrykanta rozpoznał go w Nicei z twarzą ledwie widoczną spod gęstej brody. Sprzedawał gazety na tarasach kawiarni. Dostawca sądził, że wypada zawiadomić policję i zatelefonować do żony. I tak też zrobił. Przetrząsnięto wówczas – ale bez skutku – całe miasto.

Maigret często o nim rozmyślał.

– Powinna pani położyć kres poszukiwaniom. Ma pani teraz dowód, że nic mu się nie stało. Wybrał sobie taki rodzaj egzystencji, jaki mu odpowiada.

– Nie uważa pan chyba, że rozmyślnie został kloszardem?...

Nie mogła zrozumieć. Eksfabrykant zachował swój dowód osobisty, tak że powiadomiono rodzinę, gdy po piętnastu latach umarł w starej, dziś już nie istniejącej, dzielnicy marsylskiej...

– Dzień dobry, Dubois – rzekł Maigret do policjanta, który dyżurował za barierą. Za sprawą cudu bądź letniego sezonu komisariat świecił pustkami.

– Szef dopiero co wyszedł, ale zaraz wróci.

– Nie muszę się z nim widzieć. Chciałem tylko, żebyście zajrzeli do rejestrów i powiedzieli mi, czy niejaka pani Vivien, żona Marcela Vivien, mieszka jeszcze w waszym obwodzie...

– A jej ostatnie miejsce zamieszkania?

– Ulica Caulaincourt, nie mam numeru.

– To niedawny meldunek?

– Nie. Sprzed dwudziestu lat...

Policjant przekartkował wielkie czarne księgi i wskazującym palcem wodził wzdłuż niektórych stron. Znalazł po kwadransie.

– Imię Gabriela?

– Zgadza się.

– Bez zmian. Caulaincourt sześćdziesiąt siedem.

– Dzięki, Dubois... Zaoszczędziłeś mi co najmniej godzinę łażenia, bo

Caulaincourt jest długa...

Maigret i Torrence wsiedli do wozu, choć mogli przejść piechotą tych trzysta metrów dzielących ich od numeru 67, który znajdował się na wysokości placu Constantin-Pecqueur.

- Idę z panem?
- Lepiej jak pójde sam, żeby jej nie wystraszyć...
- Zaczekam u Manière'a.

Do tej sławetnej piwiarni było stąd parę kroków.

Maigret zapukał do dozorcówki, gdzie dość jeszcze młoda kobieta układała owoce na półmisku.

- Proszę wejść...

Pchnął drzwi.

- Pan sobie życzył
- Chodzi mi o pewną informację. Czy mieszka tu jeszcze pani Vivien?
- Na czwartym.
- W tym samym lokalu, który kiedyś zajmowała z mężem?

– Wtedy jeszcze nie pracowałam. Byłam za młoda. Ale chyba przeniosła się na inne piętro do mniejszego mieszkania; dwa pokoje z kuchnią od podwórka...

- Nie wie pani, czy jest teraz u siebie?
- Powinna być. Wychodzi tylko wcześniej rano po zakupy. I w dodatku nie co dzień.

Gdy już miał wsiąść do ciasnej windy, zawołała:

- Drzwi po lewej...
- Dziękuję...

Nigdy nie był tak zniecierpliwiony. Doznawał wrażenia, że zbliża się do celu, że za kilka minut dowie się wszystkiego o człowieku z zaufka Vieux-Four.

Nacisnął guzik elektrycznego dzwonka i posłyszał jego brzęczenie w głębi mieszkania. Potem otworzyły się drzwi i kobieta w średnim wieku, o surowych rysach twarzy spojrzała na niego marszcząc brwi.

- Pani Vivien?
- Czego pan ode mnie chce? Pan z prasy?
- Nie. Komisarz Maigret z Policji Kryminalnej. Zdaje mi się, że to pani telefonowała do mnie wczoraj.

Nie odpowiedziała ani tak, ani nie i nie zaprosiła go do środka. Patrzyli na siebie z wahaniem, w końcu Maigret zdecydował się: pchnął drzwi i wszedł do przedpokoju.

- Nie mam panu nic do powiedzenia – rzekła stanowczym tonem.
- Proszę panią tylko o odpowiedź na parę pytań.

Przez otwarte drzwi widać było salon, a raczej pracownię krawiecką. Maszyna do

szycia stała na stoliku; duży stół zalegały nie wykończone suknie.

– Wzięła się pani do krawiectwa?

– Każdy musi jakoś zarabiać na życie.

Krześła były również zarzucone szmatkami; rozmawiali stojąc.

Maigreta zastanowił przede wszystkim zacięty wyraz jej twarzy i sztywna postawa. Czuło się, że wskutek wielu przeżytych cierpień zamknęła się w sobie, skostniała.

Kiedyś z pewnością była niebrzydka i lubiła ubierać się kolorowo, teraz nie dbała o swój wygląd.

– Dwie osoby, dwie kobiety pytały mnie wczoraj przez telefon o to samo i zaraz się rozłączyły, jak gdyby nie chciały, by je poznano. Przypuszczam, że ta druga to pani córka...

Milczała.

– Jest zamężna? Ma dzieci?

– Co panu do tego? Nie możecie zostawić nas w spokoju? Jak tak dalej pójdzie, zlecają się tu dziennikarze, fotoreporterzy...

– Mogę obiecać, że im nie podam pani adresu.

Wzruszyła ramionami z pozorną rezygnacją.

– Tożsamość pani męża potwierdziło szereg osób. Co do tego nie ma więc żadnych wątpliwości. Wiedziała pani, że został włóczęgą?

– Nie.

– Co powiedział pani przed odejściem dwadzieścia lat temu?

– Nic.

– A wcześniej nie spostrzegła pani jakiejś zmiany w jego zachowaniu?

Zdawało mu się, że lekko drgnęła.

– Był taki jak zawsze.

– Dobrze go pani traktowała?

– Byłam jego żoną.

– W niektórych małżeństwach mąż i żona stale się kłócą i zatruwają sobie życie.

– Nie w naszym wypadku.

– Zdarzało mu się wychodzić z domu wieczorami?

– Nie. Kiedy wychodził, brał mnie ze sobą.

– Dokąd, na przykład?

– Do kina. Albo spacerowaliśmy po ulicach...

– Czy w ostatnich dniach przed odejściem nie wyglądał na przygnębionego?

– Nie.

Maigret utwierdził się w podejrzeniu, że ta kobieta ogranicza się do monosylab, ilekroć kłamie.

– Odwiedzali was jacyś przyjaciele?

– Nie.

– Nikt z rodziny?

– Ani ja, ani on nie mieliśmy krewnych w Paryżu.

– Gdzie go pani poznała?

– Tam, gdzie pracowałam, w sklepie.

Skórę miała bladą, jak ktoś stale przebywający w zamkniętym pomieszczeniu, i mięśnie pozbawione dawnej prężności.

– To wszystko.

– Ma pani jakąś jego fotografię?

– Nie.

– Jedną widzę na kominku.

Marcel Vivien, młody, pogodny, niemal roześmiany.

– Nie wyjmę jej z ramki.

– Zwrócę ją pani natychmiast po zrobieniu odbitek.

– Mówię: nie... Jak można odbierać mi resztki tego, co zostało!...

Posunęła się o krok w stronę drzwi.

– Mogę prosić o adres córki?

– A pan skąd się dowiedział, gdzie ja mieszkam?

– W komisariacie policji.

Miała mu już powiedzieć, że w ten sposób może zdobyć adres jej córki, ale tylko ponownie wzruszyła ramionami.

– Nie skończyła ośmiu lat, kiedy to się stało...

– Wyszła za męża, prawda?

Na kominku zobaczył także zdjęcie dwojga dzieci w wieku czterech i sześciu lat.

– Tak, wyszła za męża. Po mężu nazywa się Delaveau, Odette Delaveau, mieszka pod dwunastym na ulicy Marcadet. I niech się już pan wynosi. Po południu przychodzi klientka do przymiarki, a sukienka jeszcze niegotowa...

– Dziękuję pani – powiedział Maigret nie bez ironii.

– Nie ma za co...

Chciał jej zadać wiele innych pytań, ale czuł, że byłoby to daremne. Trzeba więcej czasu, by ją oswoić, o ile to w ogóle możliwe.

Torrence oczekiwał go na tarasie u Manière'a.

– Małe piwo? – zaproponował.

I Maigret uległ pokusie. Była to druga szklanka tego dnia.

– Jaka jest ta pani Vivien?

– Twarda z niej sztuka...

Miał jej trochę za złe, że utrudnia mu pracę swoim uporczywym milczeniem, ale

rozumiał ją w głębi duszy.

Czy zgłosi się po ciało męża, czy wyprawi mu godziwy pogrzeb? Czy myślała o tym, zanim Maigret odnalazł ją na ulicy Caulaincourt?

– Mimo wszystko powinna go pochować – mruknął Torrence, jak gdyby odgadując jego myśli.

– Oczywiście...

– Zbiegną się dziennikarze i reporterzy...

– Podrzucić mnie na Marcadet, pod dwunasty.

– Przecież to dwa kroki stąd!

– Wiem. Na Montmartrze wszystko jest o dwa kroki...

I właśnie w tej dzielnicy Paryża ludzie najdłużej mieszkają w swoich starych domostwach. Są i tacy, którzy prawie nigdy nie schodzą ze wzgórza do śródmieścia.

– Jedziemy do jego córki?

– Tak...

Kamienica wyglądała podobnie jak ta na Caulaincourt, tyle że nieco później ją zbudowano i windę miała obszerniejszą.

– Sam pan wejdzie?

– Tak... Nie myślę, by chciała mi poświęcić dużo czasu... Sądząc po tym, jak przyjęła mnie matka...

Zasięgnął informacji u dozorczyńni znacznie starszej niż tamta z Caulaincourt.

– Drugie i na prawo... Dopiero przed kwadransem wróciła z dziećmiakami...

– Jej mąż przychodzi tu na obiady?

– Nie. Nie starczyłoby mu czasu. Jest na ważnym stanowisku. To kierownik działu w Bon Marché...

Maigret skręcił na drugim piętrze w prawo i zadzwonił do drzwi, za którymi rozlegały się dziecięce głosy.

Otworzyła mu młoda kobieta obrzucając go nieufnym spojrzeniem. Mieszkanie było jasne, o tej porze zalane słońcem.

– Komisarz Maigret?

– Tak.

– Kto panu dał mój adres?

– Pani matka. Właśnie od niej wracam.

– Zgodziła się z panem rozmawiać?

– Tak... Nic sobie nie ma do zarzucenia, prawda?

– Z pewnością nie ma sobie nic do zarzucenia, ale nie lubi wracać do przeszłości.

– A mimo to trzyma na kominku fotografię pani ojca.

Dwoje dzieci, klęcząc na podłodze, bawiło się małą kolejką elektryczną.

– Nie rozumiem, dlaczego rozłączyła się pani, kiedy chciałem jeszcze o coś

zapytać.

– Nie życzę sobie, żeby mnie w dzielnicy wytykano palcami.

– Co ludzie o tym myślą?

– Że ojciec zmarł dwadzieścia lat temu i że matka jest wdową.

– Przypuszczam, że pójdzie zidentyfikować zwłoki i postara się o przyzwoity pochówek.

– Nie przyszło mi to do głowy.

– I obie zgodziłybyście się, żeby go złożono we wspólnym grobie?

– Mówię panu, że o tym nie pomyślałam.

– Dobrze pamięta pani ojca?

– Bardzo dobrze. Proszę nie zapominać, że miałam już osiem lat, kiedy nas opuścił.

– Jaki to był człowiek?

– Przystojny, niezwykle silny, prawie zawsze wesoły. Często zabierał mnie na spacer. Wtedy kupował mi lody i pozwalał na wszystko.

– A matka?

– Matka była surowsza. Ciągłe się bała, że pobrudzę sukienkę...

– W jaki sposób dowiedziała się pani, że ojciec już nie wróci? Przysłał wam list?

– Jeśli nawet, to matka mi o tym nie wspomniała... Nie wydaje mi się, żeby pisała... Nic nie wiedziałyśmy... Matka cały czas go szukała i co dzień zaglądała do warsztatu, czy go tam nie ma...

– Nie zauważyła pani czegoś niezwykłego tuż przed jego odejściem?

– Nie. Matka nic panu nie mówiła?

– Zbываła mnie półsłówkami... Sądzi pani, że miałyby coś do powiedzenia?

– Nie wiem. Nigdy jej o to nie pytałam, ale mam wrażenie, że zawsze coś przede mną ukrywała.

– Nie jest już pani małą dziewczynką, więc mogę śmiało zapytać: czy obito się pani o uszy, że ojciec miał kochankę?

Poczerwieniała.

– Zabawne... I ja o tym myślałam. Ale to nieprawdopodobne ze względu na jego tryb życia. Nie porzuciłby nas dla innej kobiety albo zrobiłby to otwarcie...

– Miał przyjaciół?

– Nie znałam ich. Nigdy nikogo nie sprowadzał do domu. Nie należał także do tych, co to wieczorami w kafejce grają w karty...

– Rodzice nigdy się z sobą nie sprzeczali?

– Nie pamiętam żadnych kłótni...

– I nie domyśla się pani, dlaczego został kloszardem?

– Wcale. Nie uwierzyłabym w to aż do wczoraj...

– Był katolikiem?

– Nie. Był niewierzący. I nie uczył mnie religii. Ale też nie był temu przeciwny. Był po prostu obojętny...

– Pani również...?

– Tak.

– A matka?

– W młodości była dość pobożna, zmieniła się dopiero po zamążpójściu. Ślub brali jednak w kościele, chyba dla tradycji...

– Często pani odwiedza matkę?

– Nie. To ona do nas przychodzi w każdą niedzielę, żeby zobaczyć się z dziećmi.

– Przynosi im słodycze?

– To nie w jej stylu.

– Stara się je zabawić?

– Nie. Nie rusza się z krzesła, nie chce siadać w fotelu, patrzy, jak się bawią. Mąż i ja możemy się wtedy wyrwać do kina...

– Dziękuję. Nic więcej mi pani nie powie?

– Nie. Chciałabym uniknąć najścia dziennikarzy i fotografów...

– Zrobię w tej sprawie co tylko możliwe. Ale kiedy matka pani pójdzie zidentyfikować zwłoki, trudno będzie zamknąć usta prasie.

– Niech pan jednak spróbuje. Bardzo proszę. – A gdy kładł rękę na klamce, dodała: – Można go będzie zobaczyć?

– Tak...

– Bardzo bym chciała.

Przeciwnie niż matka szybko pozbyła się sztywności. Należała niewątpliwie do dziewcząt, które uwielbiają swoich ojców.

Rozdział 3

O wpół do trzeciej Maigret pukał do gabinetu sędziego śledczego. Na wszystkich ławkach w długim korytarzu czekali ludzie; niektórzy pilnowani przez dwóch żandarmów, paru w kajdankach. Panowała tu klasztorna cisza.

– Proszę wejść...

Gabinet sędziego Cassure, w nie zmodernizowanej części kompleksu budynków, przywodził na myśl atmosferę powieści Balzaka: czarne biurko zdobione jak za dawnych czasów, stosy akt w kącie na podłodze. Kancelista, chociaż nie używał zarękawków z lustryny, wyglądał jak postać z ubiegłego stulecia.

– Niech pan siada, Maigret.

Cassure nie miał więcej niż trzydzieści lat. Kiedyś było wręcz nie do pomyślenia, by ktoś w tym wieku zajmował w Paryżu taką pozycję.

Maigret na ogół nie ufał młodym urzędnikom sądowym, którzy ledwie przyswoiwszy sobie teorie, chcieli je niezwłocznie stosować w praktyce. Cassure podobny był do nich tylko zewnątrz. Wysoki, szczupły i zwinny, nienagannie ubrany, zdawał się roztaczać dokoła atmosferę uczelni.

– Przypuszczam, że skoro chciał się pan ze mną zobaczyć, usłyszę od pana coś nowego...

– Tak... Chciałbym zapoznać pana z przebiegiem śledztwa...

– Policja czeka przeważnie do ostatniego momentu, żeby się z nami porozumieć, chyba że potrzebny jej nakaz aresztowania...

Uśmiechnął się nieco melancholijnie.

– Powiadają o panu, Maigret, że zawsze dogląda pan wszystkiego osobiście, że przepytuje pan dozorczyńnię po domach, rzemieślników w warsztatach, gospodynie w kuchniach i jadalniach...

– To prawda.

– Nam nie wolno tak postępować. Tradycja zamyka nas w gabinetach, opuszczamy je w przypadku tak zwanych dochodzeń prokuratorskich, a i wtedy jesteśmy zagubieni w tłumie różnych ekspertów, tak że w gruncie rzeczy dopełniamy

jedynie formalności... Czytałem w prasie, że nasz włóczęga to niejaki Vivien i że swego czasu był stolarzem...

– Zgadza się.

– Domyśla się pan, z jakiego powodu rzucił rodzinę, warsztat i przystał do kloszardów?

– Rozmawiałem z jego żoną i córką. Nie umiały mi na to pytanie odpowiedzieć. Słyszałem o podobnej historii sprzed laty: bardzo znany bankier londyński zrobił dokładnie to samo.

– Kiedy ten Vivien zniknął?

– W czterdziestym piątym.

– Miał kochankę, drugie mieszkanie?

– Nie dało się tego ustalić. Moi ludzie starannie przeczesują dzielnicę. Na domiar złego poszukiwania komplikuje fakt, że musimy zwracać się o informacje do osób starszych. Dziś rano na próżno przepytywałem rzemieślników, sklepikarzy i drobnych rentierów w knajpie, do której Vivien każdego ranka przychodził na kawę. Dobrze go pamiętają, tylko prawie nic o nim nie wiedzą, bo z nikim się nie spoufalał...

– Ciekawe, że po dwudziestu latach ktoś nagle postanowił go zlikwidować.

– Dlatego też usiłuję rozpracować jego przeszłość... Można by również założyć, że jakiś obsesjonista czy wariat zaatakował ni stąd, ni zowąd pierwszego z brzegu kloszarda, ale nie wydaje mi się to prawdopodobne...

– Jaka jest ta jego żona?

– Niesympatyczna. Trzeba jednak przyznać, że nie miała łatwego życia. Z dnia na dzień została sama z ośmioletnią córeczką, bez środków na utrzymanie. Na szczęście umiała trochę szyć. Zaczęła od sąsiadek i z czasem powiększyła swoją klientelę.

– Zmieniła mieszkanie?

– Nie. Została w tym samym domu na Caulaincourt. Przeniosła się na inne piętro do mniejszego i tańszego lokalu. Trudno określić jej wiek, żyje bez celu. Patrzy wzrokiem nieruchomym, tęczołki ma wyblakłe jak ci, którzy dużo wycierpieli.

– Nie wie, dlaczego mąż odszedł?

– Udało mi się z niej wydobyć ledwie kilka słów. Jeśli coś wie, zachowuje to dla siebie i nikt nie przełamie jej milczenia.

– A córka?

– Ma obecnie dwadzieścia osiem lat. Wyszła za kierownika działu sprzedaży w Bon Marché; nie znam tego człowieka. Jest rozmowniejsza od matki, ale i ona przyjęła postawę obronną. Wychowuje dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę w wieku sześciu i czterech lat.

– Łączą ją dobre stosunki z matką?

– O tyle, o ile. Widują się prawie co niedziela przez wzgląd na dzieci, ale chyba

za sobą nie przepadają. Córka, Odette, ubóstwiała ojca i nadal strzeże zazdrośnie tego uczucia. Myślę, że dziś po południu lub jutro pójdą do Instytutu Medycyny Sądowej, żeby zidentyfikować ciało.

– Pójdą razem?

– To by mnie zdziwiło. Pójdą osobno. Jednej i drugiej powiedziałem, że już mogą załatwić sprawę pogrzebu. Boją się panicznie dziennikarzy i fotoreporterów... Jeśli podziela pan moje zdanie, to urządzę wszystko tak, by powiązania rodzinne nie dostały się do wiadomości publicznej...

– Jasne. Rozumiem położenie obu kobiet. Nie ma pan nadal żadnych podejrzeń co do osoby zabójcy?

– Na razie brak jakichkolwiek śladów. Nie natknąłem się jeszcze w mojej praktyce na człowieka bardziej samotnego. Nie tylko żył samotnie w na pół zrujnowanej kamienicy, obywając się bez wody i światła, ale w dodatku nie sposób ustalić, jak spędzał dni.

– Co mówi lekarz sądowy? Vivien był w dobrym stanie zdrowia?

– W znakomitym. Wyglądał na sześćdziesiąt pięć lat, a miał pięćdziesiąt pięć i wszystkie organa w doskonałym stanie...

– Dziękuję za informowanie mnie na bieżąco. To śledztwo, jeśli właściwie zrozumiałem, zapowiada się na dłużej...

– Chyba że się nam powie, że się coś wydarzy... Jeżeli, na przykład, pani Vivien zechce mówić, to myślę, że wyjaśniłaby nam wiele kwestii.

Maigret wrócił do swego gabinetu i połączył się z Instytutem Medycyny Sądowej.

– Halo!... Możecie mi powiedzieć, czy niejaka pani Vivien zgłosiła się, żeby zidentyfikować zwłoki męża?

– Wyszła przed półgodziną.

– Nie miała żadnych wątpliwości, że to on?

– Od razu go poznała.

– Rozpłakała się?

– Nie. Chwilę stała bez ruchu i patrzyła na niego, była spięta. Spytała mnie, kiedy może rozpocząć formalności związane z pogrzebem, a ja ją odesłałem do pana.

Doktorowi Lagodinec ciało już nie jest potrzebne. Przebadał wszystko, co się dało.

– Dziękuję. Dzisiaj zjawi się pewnie u was młoda kobieta. To jego córka.

– Będę do jej dyspozycji.

Maigret otworzył drzwi pokoju inspektorów.

– Nic nowego? – spytał Torrence'a.

– Tak jak pan zlecił; sześciu ludzi w okolicy Lepic i Caulaincourt przepytuje wszystkich sklepikarzy, gości w barach i kafejkach, nawet przechodniów, tych starszych, którzy mogli go znać, zanim zniknął...

Nic nie wskazywało na to, że stał się kloszardem zaraz po opuszczeniu rodziny i warsztatu. Mógł wtedy przenieść się do innej dzielnicy, mógł jakiś czas żyć na prowincji.

A że nie sposób było objąć śledztwem terenu całej Francji, Maigret ograniczył się do Montmartre'u, choć nie umiałby wyjaśnić dlaczego.

Nieco później zadzwonił do pani Vivien, której numer znalazł w książce telefonicznej. Była już w domu. Odezwała się głosem osoby wciąż spodziewającej się złych nowin i podejrzliwej.

– Halo!... Kto mówi?

– Maigret... Dowiedziałem się właśnie, że była pani w Instytucie... Czy na pewno chodzi o pani męża?

Rzuciła mu krótkie, oschłe „Tak”.

– Bardzo się zmienił w ciągu dwudziestu lat?

– Jak wszyscy.

– Wracam od sędziego śledczego. Wspomniałem mu o pogrzebie. Zgodził się, by oddano pani ciało i by zajęła się pani pochówkiem. Wyraził również zgodę na to, by w miarę możliwości trzymać od tego prasę z daleka.

– Dziękuję.

– Myślę, że nie zależy pani na sprowadzeniu zwłok na ulicę Caulaincourt.

– Bynajmniej.

– Kiedy według pani odbędzie się pogrzeb?

– Pojutrze. Czekałam na pański telefon i teraz umówię się z zakładem pogrzebowym.

– Nie macie kwatery na którymś z cmentarzy paryskich?

– Nie. Moi rodzice nie byli bogaci.

– W takim razie pochowają go prawdopodobnie na cmentarzu w Ivry.

– Leży tam moja matka.

– Nie rozmawiała pani z córką?

– Jeszcze nie.

– Proszę mnie powiadomić o godzinie pogrzebu.

– Chce pan tam przyjechać?

W pytaniu nie było ani cienia życzliwości.

– Niech się pani niczego nie obawia. Nawet nie zauważy pani mojej obecności...

– Chyba że zbiegną się dziennikarze, którzy za panem pociągną...

– Znajdę sposób, żeby się ich pozbyć.

– Nie mogę temu przeszkodzić, prawda?

W głosie jej brzmiała gorycz. Od dwudziestu lat żyła przepełniona tą goryczą. A może wynikało to z jej charakteru? Czyżby była już taka w okresie pożycia

małżeńskiego?

Maigret zadawał sobie wszystkie możliwe i wyobrażalne pytania, wśród nich także pozornie naiwne. Usilnie starał się odtworzyć osobowość Marcela Vivien, najbardziej samotnego z samotnych.

Większość ludzi, nawet silnych z natury, odczuwa potrzebę kontaktu z innymi. Vivien przeciwnie. Zaszył się w wielkiej opustoszałej kamienicy, która lada moment mogła zostać wyburzona; w tym swoim schronieniu gromadził rzeczy najprzedziwniejsze i całkiem bezużyteczne.

Kloszardzi paryscy znali go tylko z widzenia. Niektórzy próbowali go zagadywać, a on szedł dalej swoją drogą w milczeniu. U pana Josepha, którego dla pięciu franków odwiedzał kilka razy w tygodniu, nie odzywał się do nikogo, wpatrzony w lustro naprzeciw.

– Pogrzeb pojutrze – rzekł Maigret do Torrence'a. – Obiecałem, że zrobimy co w naszej mocy, żeby prasa tego nie rozgłosiła.

– Niektórzy telefonują co dzień po kilka razy.

– Trzeba im mówić, że nie zaszło nic nowego.

– Tak właśnie mówimy i ja, i koledzy. Ale to nie zadowala dziennikarzy, są przekonani, że coś przed nimi ukrywamy...

I tak też było. Czy zatem jakiś przedsiębiorczy reporter nie dojdzie samodzielnie do odkryć, które już poczynił Maigret?

Nazajutrz funkcjonariusze Policji Kryminalnej znów krążyli po dzielnicy ze zdjęciami Marcela Vivien i nadal nie otrzymywali od ludzi satysfakcjonujących odpowiedzi na swoje pytania.

Maigret zadzwonił do Odetty Delaveau. Ona także rozpoznała w kostnicy ojca.

– Wie pani, na kiedy wyznaczono pogrzeb?

– Matka panu tego nie powiedziała?

– Rozmawiałem z nią ostatnio przez telefon, ale wtedy jeszcze nie uzgodniła godziny z zakładem pogrzebowym.

– Pogrzeb odbędzie się jutro rano o dziewiątej.

– Po egzekwiach?

– Nie. Nie wstąpimy do kościoła. Tylko matka, mój mąż i ja pojedziemy za karawanem aż do Ivry...

Szkoda, że Maigret przyrzekł im nie powiadamiać dziennikarzy. Być może, jak to częstokroć bywa, zabójca zjawiłby się w pobliżu Instytutu Medycyny Sądowej lub na cmentarzu.

Czy zabójca rzeczywiście znał Viviena przed dwudziestu laty? Nic o tym nie świadczyło. Przecież ten włóczęga mógł dużo później narobić sobie wrogów.

A jeśli któryś z kloszardów podejrzewał, że Vivien trzyma w kryjówce swoje

oszczędności...?

To także mało prawdopodobne. Kłoszardzi rzadko używają broni palnej. Zwłaszcza pistoletu kaliber 32.

Na przestrzeni dwudziestu lat wiele mogło się wydarzyć. A jednak Maigret wciąż powracał myślą do dnia, w którym młody stolarz wyszedł z domu jak każdego ranka i nie dotarł do warsztatu przy ulicy Lepic.

Czy chodziło o kobietę? Jeżeli tak, to dlaczego i ją opuścił, żeby zostać włóczęgą? W żadnym z listów, które napłynęły do Policji Kryminalnej po ukazaniu się w prasie zdjęć i relacji, nie było wzmianki o nieznannej kobiecie w życiu Viviena.

Tego wieczoru, mając dość roztrząsania problemów, które zaczynały przyprawiać go o mdłości, Maigret oglądał western w telewizji. Pani Maigret zmyła naczynia i przysiadła obok w milczeniu, żeby mężowi nie przeszkadzać pytaniami.

– Jutro obudzisz mnie o pół godziny wcześniej niż zwykle.

Nie pytała o powód. To on wyjaśnił:

– Idę na pogrzeb.

Domyślała się, czyj to będzie pogrzeb, i o siódmej rano podała mężowi pierwszą filiżankę kawy.

Torrence zgodnie z poleceniem miał przyjechać po niego małym wozem Policji Kryminalnej i stawił się punktualnie o wpół do dziewiątej.

– Pewnie najpierw jedziemy do Instytutu?

– Tak.

Przy trotuarze czekał już karawan, a za nim samochód osobowy zakładu pogrzebowego. Siedziały w nim obie kobiety i pan Delaveau, Torrence zatrzymał się nieco dalej, tak, by ich nie widziano. Nie pojawili się ani dziennikarze, ani fotoreporterzy. Czterech mężczyzn wyniosło trumnę, bardzo ciężką, jak się zdawało, i w parę minut później orszak ruszył w kierunku Ivry.

Od wczoraj zmieniła się pogoda, było pochmurno i chłodniej. Komunikaty meteorologiczne zapowiadały pod koniec dnia deszcze na zachodzie kraju i w Paryżu.

Torrence starał się nie zbliżać zanedo do samochodu wiozącego rodzinę. Maigret bez słowa palił fajkę i patrzył wprost przed siebie, trudno by odgadnąć, o czym myślał.

Torrence szanował milczenie szefa, co niełatwo mu przychodziło, był bowiem największym gadułą wśród inspektorów.

Karawan przejechał prawie pół cmentarza i wreszcie zatrzymał się w jego nowo otwartej części przy jednym z wykopanych dołów. Jakies sto metrów dalej przystanęli Maigret i Torrence. Pani Vivien, jej córka i zięć czekali nieruchomo na skraju dołu, do którego spuszczano trumnę. Obie trzymały w ręku bukiety kwiatów.

Grabarz chciał podać wdowie łopatę, by rzuciła na trumnę pierwszą grudkę ziemi,

ona jednak – ku zdumieniu Maigreta – potrząsnęła przecząco głową i cisnęła na trumnę swoje kwiaty. Odette zrobiła to samo i dopiero jej mąż wykonał ów rytualny gest.

Delaveau nie mógł znać ebenisty Marcela Vivien. Był na to za młody, Maigret dawał mu najwyżej trzydzieści lat. Był dość przystojny w swoim czarnym garniturze, który niewątpliwie wkładał do pracy w Bon Marché; nosił wąsy niemal tak czarne jak czupryna.

I na tym zakończyła się ceremonia, jeśli można uznać za ceremonię tych parę chwil poświęconych zmarłemu. Rodzina odjechała samochodem. Maigret, rozglądając się dokoła, nie dostrzegł żadnej podejrzanej sylwetki. Doznał wrażenia, że teraz, gdy złożono do grobu jego włóczęgę, prawda oddaliła się jeszcze bardziej.

Był w dosyć kiepskim nastroju. Milczał. Zdawało się, że wciąż aż do znudzenia rozważa nękające go zagadnienie.

Jakie mogą być motywy tej zbrodni, skoro jej sprawca nawet nie przetrząsnął siennika, gdzie biedacy zazwyczaj chowają pieniądze?

Maigret mimo woli cofał się nieustannie do okresu sprzed dwudziestu lat i to było przyczyną, że wysłał sześciu inspektorów na Montmartre.

W biurze oczekiwała go przyjemna niespodzianka. Wrócił właśnie jeden z tych sześciu inspektorów, ogromnie podekscytowany.

– Wpadłeś na coś?

– Którego dnia zaginął Vivien?

– Dwudziestego trzeciego grudnia.

– I nikt go potem nie widział?

– Otóż to.

– Kupił wtedy coś na gwiazdkę dla córki?

– Nie przyszło mi do głowy zapytać o to żony.

– Wie pan, gdzie jest „Cyrano”? Taka piwiarnia na placu Blanche.

– Wiem.

– Więc kelner z „Cyrano”, który chyba już dobiega sześćdziesiątki, poznał na zdjęciu Viviena.

– Kiedy widział go ostatnio?

– Po dwudziestym trzecim grudnia. W końcu stycznia następnego roku.

– Jak może być tego pewny po tak długim czasie?

– Bo akurat w styczniu zaangażował się do „Cyrano”.

– Widział Viviena parokrotnie?

– Co najmniej dziesięć razy w styczniu i lutym czterdziestego szóstego. Nie był sam. Przychodziła z nim bardzo młoda dziewczyna, bruneteczka, która ciągle chwytła go za rękę.

– W jakich godzinach bywali w „Cyrano”?

– Około jedenastej albo jedenastej trzydzieści po zamknięciu kin.

– Kelner jest całkiem pewny, że to on?

– Tak twierdzi, bo ten gość pił tylko wodę mineralną, a dziewczyna zamawiała cointreau... Poza tym to pierwsza praca tego kelnera... Przedtem był pikolakiem w dużym hotelu na bulwarach...

– Widywał ich wyłącznie w piwiarni?

– Tak. Julien, to ten kelner, mieszka dość daleko stamtąd, na bulwarze de la Chapelle...

- Kiedy stracił z oczu tę parę?
- W jakieś dwa miesiące później.
- I od tamtej pory nie widział Viviena?
- Nie.
- Ani dziewczyny?
- Ani jej.
- Nie słyszał, jakim imieniem zwracał się do niej?
- Nie. To chyba wszystko, co wie.

Jeśli Julien nie mylił się co do dat, to Vivien nie dlatego porzucił rodzinę i warsztat, żeby zostać kloszardem.

Odszedł z powodu dziewczyny. I niewątpliwie spodziewał się, że rozpocznie nowe życie.

Dlaczego nie unikał pokazywania się w tej dzielnicy? Piwiarnia „Cyrano” znajdowała się o dwieście metrów od jego warsztatu, niespełna kilometr od domu, gdzie zostawił żonę i córkę.

Nie obawiał się, że ktoś go pozna? Czy też nic sobie z tego nie robił? A może przyznał się przed żoną, że zamierza żyć z inną kobietą? I to niejako tłumaczyłoby obecną postawę pani Vivien.

– Wracaj po południu na Montmartre i w dalszym ciągu przepytuj ludzi. Może w „Cyrano” są jeszcze inni starsi wiekiem kelnerzy. No i właściciel...

- To facet koło trzydziestki, syn poprzedniego właściciela, który siedzi na wsi.
- Trzeba się dowiedzieć gdzie.
- Dobrze, szefie.

– W dzielnicy jest mnóstwo hotelików. Warto i do nich zajrzeć. Wynajęcie samodzielnego mieszkania było w tamtych czasach prawie niemożliwe...

Maigret dobrze wiedział, że sam odwiedzi „Cyrano” i pokręci się w okolicy bulwaru Rochechouart.

Na obiad do domu pojechał taksówką, wypiwszy przedtem aperitif w Brasserie Dauphine.

I – jak to zresztą przewidział – znalazł się o wpół do trzeciej przed tarasem „Cyrano”. Na placu Blanche panował spory ruch, do czego przyczyniły się autokary oraz grupy i grupki turystów wyposażonych w aparaty fotograficzne. Wszyscy lub prawie wszyscy uwieczniali na kliszach Moulin Rouge sąsiadujące z piwiarnią. Na tarasie nie było wolnego miejsca. Kelnerzy lawirujący między stolikami – pracowało tu ich trzech – byli młodzi, ale w mrocznym wnętrzu Maigret zauważył czwartego, a ten zbliżał się chyba do sześćdziesiątki.

Maigret wszedł i usiadł na ławeczce.

– Małe piwo...

Nie wziął z sobą Torrence’a, bo trochę go żenował fakt, że osoba Marcela Vivien budzi w nim coraz większe zainteresowanie.

– Nazywa się pan Julien? – spytał, kiedy kelner przyniósł mu piwo. – To z panem rozmawiał dziś rano jeden z moich ludzi?

– Pan komisarz Maigret?

– Tak.

– Dla mnie to wielki zaszczyt... Myślę, że powiedziałem pańskiemu inspektorowi wszystko, co mi wiadome.

– Dotyczy to roku czterdziestego piątego?

– Tak. Dobrze wszystko pamiętam, bo, jak to już rankiem mówiłem inspektorowi, zacząłem wtedy pracować jako kelner.

– Koniec grudnia, początek stycznia?

– Co do grudnia, to bym się nie upierał... Z racji świąt mamy zawsze straszny tłok i brak czasu na przyglądanie się klientom...

Odwołano go do stolika w drugim rzędzie; przyjął zamówienie, wrócił z dwiema szklankami piwa.

– Przepraszam pana, ale w tym rejonie jestem sam. Koledzy obsługują taras. Co to ja mówiłem? Styczeń, tak... Przypuszczalnie i w lutym, bo już do tych dwojga przywykłem, a to wymaga trochę więcej czasu...

– Rozpoznał pan Viviena bez trudności?

– Nie znałem jego nazwiska, ale to musi być on; prawie co wieczór bywał u nas w towarzystwie ładnej dziewczyny.

– Najczęściej po ostatnim seansie w kinach?

– I to mnie zastanawiało, sam nie wiem dlaczego.

– Poznałby pan dziewczynę?

– No wie pan, z kobietami jest inaczej... Po dwudziestu latach nie tak łatwo je poznać... – Przerwał, pomyślał chwilę. – Jednak ją... tak, ją bym poznał...

– Po czym?

– Po ciemnej plamce na policzku...

– Prawym, lewym?

– Zaraz, zaraz... Siadywali zwykle przy tym stoliku... Więc musiał to być lewy policzek, bo podchodziłem do nich od tej strony...

Znów się oddalił na wezwanie nowo przybyłego gościa, który zamówił wódkę z wodą.

– Może widział pan tę dziewczynę z jakimś innym mężczyzną?

– Nie. Nie przypominam sobie. A chyba bym jej nie przegapił, miałem dość czasu, żeby zapamiętać jej twarz i jej sposób ubierania się.

– Jak się ubierała?

– Zawsze na czarno. Czarna jedwabna sukieneczka i czarny płaszcz z futrzanym kołnierzem.

– Mieli samochód?

– Nie. Przychodzili piechotą, jakby po sąsiedzku...

– Brali czasem taksówkę?

Postój taksówek był dokładnie naprzeciw „Cyrano”.

– Tego to nie wiem.

– A po wyjściu stąd nie kierowali się w stronę stacji metra?

– Nie. Myślałem, że są tutejsi. Kiedy mija północ, nic się u nas nie zmienia. Zagranicznicy walą hurmem do kabaretów, ale po tamtej stronie bulwaru, tutaj jesteśmy jakby na drugim brzegu. Te dwie strony bulwaru różnią się od siebie jak dzień i noc. Uderzył się dłonią w czoło.

– Co też ja panu naplotłem! Mówiłem o roku czterdziestym piątym, nie? Człowiek gubi się, bo tyle tych pytań... Chodzi, ma się rozumieć, o czterdziesty szósty. W czterdziestym piątym pracowałem jeszcze w Grand Hotelu...

I znów odmaszerował do stolika, przy którym upominano się o rachunek.

– Lubię tę dzielnicę – oznajmił po powrocie. – Jest całkiem niepodobna do reszty Paryża. Pełno tu jeszcze rzemieślników i warsztatów w podwórkach. Sporo też urzędników, handlarzy, handlarek. No i wielu drobnych ciułaczy tak przywiązanych do Montmartre’u, że za nic nie chcą wegetować na wsi aż do śmierci... Zamawia pan coś jeszcze?

– Raczej nie... I proszę uprzejmie zatelefonować na Quai des Orfèvres, jeśli przypomni pan sobie jakiś interesujący szczegół...

– Już idę! Już idę! – zawołał Julien ku czterem nowo przybyłym, zniecierpliwionym gościom.

Chmury zaczynały gromadzić się na zachodzie; wschodnia połać nieba natomiast była prawie czysta. Od czasu do czasu czuło się lekki powiew.

Maigret powoli dopijał swoje piwo przyrzekając sobie w duchu, że to ostatnie na dzisiaj. Zabierał się już do płacenia, gdy pochylił się w jego stronę jeden z sąsiadów.

– Czy dobrze usłyszałem? Pan komisarz Maigret? Proszę wybaczyć, że ja tak prosto z mostu...

Był bardzo tęgi, bardzo czerwony, z trzema podbródkami i ogromnym brzuszyskiem.

– Urodziłem się na Montmartrze i tutaj mieszkałem całe życie. Miałem sklepik z ramami do obrazów na bulwarze Rochechouart. Odstąpiłem interes trzy lata temu, ale zachowałem dawne przyzwyczajenia...

Maigret patrzył na niego z ciekawością, nie pojmując, do czego grubas zmierza.

– Wpadło mi w ucho to i owo z tego, co pan mówił do kelnera... Chodzi o kloszarda, którego zamordowano w zrujnowanej kamienicy koło Hal, prawda?... Przyjrzałem się uważnie jego zdjęciom w gazetach i jestem przekonany, że się nie mylę.

– Więc znał go pan?

– Tak.

– Widział go pan niedawno?

– Nie. Ze dwadzieścia lat temu. Na zdjęciu bez wąsów jest bardziej do siebie podobny.

– Bywał pan w jego warsztacie na ulicy Lepic?

– Nie. Jeśli wierzyć gazetom, to już go tam wówczas nie było. Tak jak Julien spotkałem go w czterdziestym szóstym.

– W jakiej porze roku?

– W lutym, o ile dobrze pamiętam. Widywałem go regularnie w ciągu mniej więcej sześciu miesięcy.

– Mieszkał niedaleko pana?

– Nie mam pojęcia, gdzie mieszkali oboje, ale przychodzili na obiady do tej samej restauracji co ja. „La Bonne Fourchette” na Dancourt. Nieduży to lokalik, z pół tuzina stolików dla stałych gości. Tak że wszyscy się tam znali.

– Jest pan pewny tych sześciu miesięcy?

– Widziałem ich jeszcze w sierpniu, zanim pojechałem na Lazurowe Wybrzeże.

– A gdy pan wrócił...?

– Rozglądałem się za nimi całkiem bezwiednie. Przestali bywać w „La Bonne Fourchette”. Zagadnąłem o nich Boutanta, restauratora, a on mi powiedział, że nagle ulotnili się jak kamfora...

– Może i oni wyjechali na wakacje?

– Nie, bo w takim razie wróciliby jesienią. Nie natknąłem się na nich nigdy więcej ani na bulwarze, ani na ulicach.

Maigret był poruszony słowami tego człowieka, mówił on to wszystko w dobrej wierze i zdawał się obdarzony znakomitą pamięcią. Zestawiając jego relacje ze

wspomnieniami kelnera, należałoby wnioskować, że Vivien po opuszczeniu żony i córki, mieszkających na Caulaincourt, oraz warsztatu przy ulicy Lepic związał się z jakąś bardzo młodą kobietą, prawdopodobnie niezamężną, i nie troszczył się o zmianę dzielnicy.

Przez dwa miesiące dość systematycznie bywali w „Cyrano” po wyjściu z kina. Aż do połowy sierpnia spotykano ich w restauracyjce przy ulicy Dancourt, o kilka bloków dalej.

Z czego się utrzymywali? Z oszczędności Viviena? Czyżby zabrał je z sobą, nie zostawiając ani grosza żonie i córce?

Oto jeszcze jedno pytanie do pani Vivien – Odette niekoniecznie musiała się w tych sprawach orientować. Czy zechce udzielić mu odpowiedzi?

Westchnął, zapłacił za piwo, podziękował kelnerowi i anonimowemu rozmówcy.

– Przyda się panu to, co powiedziałem?

– Z całą pewnością.

Szedł wzdłuż bulwaru upychając tytoń w fajce. Na ulicy Dancourt od razu zauważył szyld z napisem „La Bonne Fourchette”. Drzwi restauracji były rozwarte na oścież, żeby wpuścić do ciasnej salki trochę świeżego powietrza. Mężczyzna w średnim wieku, szef sądząc po ubraniu, siedział oparty łokciami o kontuar, pochylony nad rozłożoną gazetą.

Lokal utrzymany był w dawnym stylu, na ścianie wisiała szafka z przegródkami na serwetki dla stałych gości. Oszklone drzwi wiodły stąd wprost do kuchni.

O tej porze sala była pusta.

– Coś do picia?

Maigret zbliżył się do cynowej lady.

– Nie chce mi się pić, chciałbym natomiast zadać panu kilka pytań.

– Z kim mam przyjemność?

– Komisarz Maigret z Policji Kryminalnej.

– Spodziewałem się, że jak nie dziś, to jutro zajrzy tu policja.

– Dlaczego pan się tego spodziewał?

– Bo ten cudaczny włóczęga Vivien stołował się u mnie przez parę miesięcy.

– W którym roku?

– W czterdziestym szóstym.

– Sam?

– Nie. Z ładną dziewczyną, która co i raz się do niego przytulała.

– Jak to się dzieje, że pan ich oboje pamięta?

– Bo kelnerzy i goście zawsze uśmiechali się na ich widok. Tacy byli w sobie rozkochani... Często aż przestawali jeść i całowali się na oczach wszystkich...

– Nie dziwiło to pana?

– Wie pan, w naszym zawodzie niejedno się ogląda i nie dziwimy się tak łatwo. On był od niej starszy o jakieś piętnaście lat, ale podobne pary nieraz się spotyka.

– Nie wie pan, gdzie mieszkali?

– Nie. Chyba w dzielnicy, bo przychodzili pieszo, objęci wpeł jak ci, którym nigdzie się nie spieszy.

– Nie odjeżdżali taksówką?

– Nie zauważyłem...

– Wstępowali czasem na kolację?

– Nie. Czemu też się nie dziwiłem... w południe przychodzą tu ludzie pracujący gdzieś w okolicy i po pracy wracają do domu. Wieczorem mamy inną klientelę.

– Kiedy przestali tu bywać?

– Mniej więcej w połowie sierpnia... Piętnastego zamykam lokal na dwa tygodnie, wiozę żonę na wieś i łowię ryby... Po moim powrocie już się nie pokazali... Pewnie upatrzili sobie jakąś inną restaurację...

Maigret podziękował; szedł znowu bulwarem Rochechouart krokiem niespiesznym, swobodnym, jak gdyby był mieszkańcem dzielnicy. Starał się zrozumieć. W tej historii coś się przecież nie zgadzało.

Marcel Vivien opuścił rodzinę na dwa dni przed Bożym Narodzeniem. Przypuszczalnie kochał wtedy swoją ośmioletnią córeczkę, a jednak nie został dla niej w domu przez tych parę świątecznych dni.

Czyżby właśnie wówczas poznał tę młodą osobę?

Maigret zamknął się w pierwszej napotkanej budce telefonicznej. Wyszukał w książce i nakręcił numer pani Vivien. W słuchawce odezwał się jej oschły głos.

– O co chodzi?

– To jeszcze ja. Komisarz Maigret. Tym razem mam jedno pytanie, ale niezwykle ważne dla dalszego przebiegu śledztwa. Czy przed odejściem mąż dał pani jakieś pieniądze?

– Nie!

– Nie miał konta w banku, książeczki oszczędnościowej?

– Miał rachunek bankowy, bo klienci płacili czekami...

– Pobrał wszystko, co trzymał w banku?

– Tak.

– Spodziewała się pani, że odejdzie?

– Dlaczego miałabym się spodziewać?

– Nie wiedziała pani o jego związku z inną kobietą?

– Nie. I na ten temat nie chcę nic wiedzieć.

Przerwała połączenie.

W sierpniu 1946 roku Marcel Vivien żył jeszcze ze swoją kochanką na

Montmartrze. Dalszy ślad po nim zanika. Wyjechał na prowincję bądź za granicę? A może już wtedy zdecydował się zostać kloszardem?

Co się stało z dziewczyną, której miłość wywoływała tkliwe uśmiechy bywalców restauracji „La Bonne Fourchette”?

Szczęśliwie dla Maigreta nadjechał stary autobus z platformą, jeden z niewielu kursujących jeszcze po mieście. Wkrótce i one będą wycofane.

Stojąc na platformie spokojnie palił fajkę i patrzył na szybko zmieniające się scenki z życia ulic paryskich.

Jaki wniosek wysnuć z tej garstki zebranych informacji? W gruncie rzeczy znał tylko początek: Marcel Vivien, mający dobry fach, żonę i córkę, pewnego dnia znika tajemniczo, aby połączyć się z młodziutką dziewczyną.

Na jak długo wystarczyłyby mu oszczędności? Co by zrobił po ich wyczerpaniu?

Życie Viviena ulega gwałtownemu załamaniu. Widzimy go ostatnio w sierpniu 1946 roku na Montmartrze; należy tu do stałych bywalców „Cyrano” i „La Bonne Fourchette”.

Potem następuje wielka pustka, ponowne zniknięcie. Czyżby znudził się dziewczyną lub może ona miała go dosyć?

Nie zostawił po sobie najmniejszych śladów i oto dziewiętnaście lat później odnajdujemy go w pokoju zniszczonej kamienicy. Mieszkał samotnie. Nikt go nie odwiedzał. Kilka razy w tygodniu siedł do szkoły fryzjerskiej, gdzie służył za model dla uczniów.

Ten, kto go zabił, nie zrobił tego przypadkowo, nikt bowiem nie spaceruje po mieście z pistoletem kaliber 32 w kieszeni. Czy motywu zbrodni trzeba szukać w przeszłości, w ostatnich miesiącach, które spędził na Montmartrze, czy też w latach późniejszych? Nikt nawet nie wiedział, od kiedy włóczył się pod Halami.

Co stało się z jego przyjaciółką? Jak się nazywała?

Maigret skrzył machinalnie w zaułek Vieux-Four. Przed drzwiami kamienicy, w której znaleziono Viviena, stał policjant.

Vivien zapewne długo tu mieszkał, skoro zdążył nagromadzić w pokoju tyle rupieci. Popadł w maniactwo? Częściowo postradał zmysły? Nic anormalnego nie dostrzegał w nim jednak właściciel szkoły fryzjerskiej. Co prawda, pan Joseph częściej przebywał wśród alkoholików i dziwaków niż wśród ludzi normalnych.

Maigret wszedł na górę. Po raz pierwszy był sam w tym wilgotnym ponurym domu; ciszę przerywały tu niespodziewane skrzypnięcia i chrobotania. Nie szukał niczego konkretnego. Chciał tylko obejrzeć na nowo dekorację, w której żył Vivien.

Wszystkie odciski palców w pomieszczeniu należały do denata. Kazało to przypuszczać, że morderca działał w rękawiczkach.

Na podłodze wciąż leżała rozmontowana lampa naftowa. Do czego chciał jej

użyć? Skarpetki nie do pary, różnych rozmiarów. Wybebeszona walizka, ongi z pewnością elegancka.

Może zajmował też inne pokoje w tym budynku, kiedy robiło mu się za ciasno? Maigret wspinał się wyżej po zniszczonych schodach, bez wielu stopni. Na czwartym piętrze nie było okien ani drzwi, na ziemi walały się stare skrzynie i stare pudła.

Schodził rozglądając się dokoła, uważał, by nie zakurzyć ubrania. Widział w wyobraźni starego włóczęgę, jak powraca tutaj wieczorem i na ciemnej klatce schodowej przyświeca sobie zapałką. Problem nie dotyczył teraz pytania, kim był ten człowiek ani jaka była jego odległa przeszłość, ale od kiedy prowadził podobną egzystencję.

Maigret pożegnał wartownika i ruszył w stronę komisariatu na ulicy Prouvaires. Ascan nie kazał na siebie długo czekać. Maigret rozsiadł się w jego biurze.

– Myślę, że będę pana potrzebował...

– Ma pan coś nowego, o czym jeszcze nie doniosły gazety?

– Tak. Zależy mi jednak, żeby tego tak zaraz nie rozgłaszać. Dwudziestego trzeciego grudnia Vivien opuścił rodzinę, ale nie opuścił dzielnicy. Nie wiem, gdzie zamieszkał. W styczniu często pokazywał się w towarzystwie ładnej dziewczyny w piwiarni „Cyrano” na placu Blanche.

– Niedaleko warsztatu.

– Tak. Nie próbował się ukrywać. Może nie zdawał sobie sprawy... Miesiąc później, w towarzystwie tej samej dziewczyny zaczyna stołować się w restauracji na ulicy Dancourt. Nie zmienia dzielnicy. Wyciąga z banku wszystkie pieniądze. Postaram się dowiedzieć, ile tego było. Żonie i córce nic nie zostawił. W restauracji na Dancourt bywał aż do połowy sierpnia. Wtedy znika na dobre. Ukazuje się dopiero po latach w pobliżu Hal, prowadzi samotne życie kloszarda. I tu właśnie oczekuję od pana pomocy. Hale podlegają pańskiej jurysdykcji. Kręci się tam wielu włóczęgów, a także recydywistów i starych prostytutek... W waszej ekipie jest zapewne kilku znawców tego rodzaju fauny...

– Nie więcej niż czterech.

– A zatem, czy mógłby im pan zlecić zebranie dla mnie paru informacji? Moi ludzie nie wiedzieliby, do kogo się zwrócić z pytaniami ani nawet, jak się wziąć do takiej roboty...

– To łatwe. Ma pan zdjęcia? Zwłaszcza te z wąsami i bródką.

– Mam przy sobie jeden komplet, ale zatelefonuję do biura po większą ilość fotokopii.

– Nie jestem pewny, czy się to moim chłopcom uda. W każdym razie dołożą wszelkich starań. Co chce pan właściwie wiedzieć?

– Od kiedy Vivien żył wśród włóczęgów. Może tu chodzić równie dobrze o kilka

miesiący jak o blisko dwadzieścia lat. Kłoszardzi znają się, przynajmniej z widzenia, interesują się każdym nowym, nawet jeśli go o nic nie rozpytują...

– Jasne. Nie ograniczałbym jednak akcji do Hal, nieźle byłoby przepytać kłoszardów z nabrzeżnych bulwarów.

– Na to też liczę. Pozwoli pan skorzystać z telefonu?

Uzyskawszy połączenie z Policją Kryminalną, wezwał do aparatu Moersa.

– Tu Maigret. Jest tam u was Mestral?... Tak?... Chciałbym, żeby mi natychmiast przygotował cztery lub pięć kompletów odbitek, szczególnie tych z wąsami i bródką. Trzeba je dziś jeszcze zanieść do komisariatu na ulicy Prouvaires i oddać do rąk własnych komisarza Ascana... Dziękuję, Moers... Cześć...

A do Ascana:

– Otrzyma je pan za godzinę.

– Tej nocy puszczam na trop moich specjalistów.

Gdy Maigret wyszedł z komisariatu, padał ulewny deszcz, kuleczki gradu odbijały się od chodnika. Ciemne chmury przesłaniały niebo. Chwała Bogu, że nadjechała wolna taksówka.

– Policja Kryminalna – rzucił kierowcy.

Zmęczyło go ustawiczne zadawanie sobie pytań i daremne poszukiwanie odpowiedzi.

– Który z was nie będzie zajęty jutro rano? – spytał w pokoju inspektorów.

Wymienili spojrzenia, trzech podniosło rękę.

– Odbierzecie zdjęcia z wydziału identyfikacji i objedziecie z nimi małe hotele i pokoje umeblowane na Montmartrze, zwłaszcza w okolicy bulwaru Rochechouart. Jest szansa, że w jednym z nich mieszkał Vivien z dziewczyną przez mniej więcej sześć miesięcy. Interesuje mnie przede wszystkim ta młoda kobieta. Nie zaszkodzi też popytać w sklepach, szczególnie w spożywczych. Powodzenia, chłopcy.

Wszedł do swego gabinetu, gdzie po chwili zjawił się Torrence.

– Coś nowego, szefie?

Maigretowi zabrakło sił, by powtórzyć od nowa całą tę historię; mruknął tylko:

– Jutro... Janvier może odwołać swoich sześciu ludzi.

Dobre pół godziny przedzemał w fotelu; deszcz wpadał przez otwarte okno i zalewał parkiet.

Rozdział 4

Następnego ranka zaczął urzędowanie bardzo wcześnie i zanim zeszli się inspektorzy, zdążył uporać się z pocztą. Był przekonany, że im szybciej prowadzi się śledztwo, tym więcej ma się szans na jego szybkie zakończenie.

Funkcjonariusze I komisariatu pracowali dla niego całą noc, ale Maigret nie chciał telefonować do Ascana, aby ten nie odniósł wrażenia, że się go popędza. Janvier, wspomagany przez paru będących do dyspozycji inspektorów, załatwiał sprawy bieżące. Pokoje biurowe były niemal puste.

Deszcz ustał. Po błękitnym niebie mknęły białe obłoczki, którym słońce przydawało różowych aureoli.

– Jedziemy, Torrence.

Nie działał według ściśle określonego planu, zawierał raczej instynktowi. Jaki plan zresztą utrzymałby się przy braku solidnych podstaw i realnych wskazówek?

– Ulica Lepic... Zdaje mi się, że filia Crédit Lyonnais jest naprzeciw warsztatu Viviena...

Dojechali tam błyskawicznie, bo o tej porze był mały ruch.

– Postaraj się gdzieś blisko zaparkować i czekaj na mnie...

Podszedł do jednego z okienek banku.

– Chciałbym pomówić z dyrektorem...

– Pana godność?

– Komisarz Maigret...

– Dobrze pan trafił. Dyrektor wrócił wczoraj z urlopu...

Nie czekał ani chwili. Natychmiast poprowadzono go do gabinetu dyrektora.

Dyrektor, mężczyzna około czterdziestki, z otwartą, spaloną słońcem twarzą, poprosił Maigreta, żeby usiadł.

– W czym mogę być pomocny, panie komisarzu?

– Jeśli w ostatnich dniach czytał pan prasę, to jest panu znana sprawa Viviena. Marcel Vivien, ebenista, miał warsztat stolarski naprzeciw waszej agencji.

Dwadzieścia lat temu. Chciałbym wiedzieć, czy przechowujecie jeszcze wyciągi z

jego konta...

– Sprzed dwudziestu lat? Nie. Kiedy zamykamy czyjś rachunek, to znaczy, kiedy klient likwiduje wszystkie aktywa, zachowujemy odnośną dokumentację przez parę miesięcy, potem przekazujemy ją do siedziby spółki na bulwarze des Italiens...

– I długo tam pozostają?

– Nie pamiętam dokładnie, ale z pewnością nie więcej niż dziesięć lat. W przeciwnym razie... niechże pan sobie tylko wyobrazi, ile by to zajęło miejsca!

– A ten kasjer w starszym wieku, którego widziałem przy okienku...?

– Papiro Frochot... Tak, to najstarszy z naszych urzędników. Pracuje w firmie czterdzieści lat, pod koniec miesiąca idzie na emeryturę...

– Mógłbym z nim porozmawiać?

Dyrektor nacisnął elektryczny dzwonek. W półotwartych drzwiach ukazał się młody człowiek.

– Poproście pana Frochot...

Papcio Frochot miał przebiegłą twarz i żywo błyszczące oczy za grubymi szklami okularów.

– Niech pan siada, panie Frochot. Komisarz Maigret chce zadać panu kilka pytań...

– Jestem zaszczycony...

– Ma pan dobrą pamięć, panie Frochot?

– Tak tu mówią...

– Klient, o którym chciałbym z panem porozmawiać, opuścił tę dzielnicę dwadzieścia lat temu i według moich przewidywań anulował swoje konto...

– Marcel Vivien?

– Skąd pan to wie?

– Czytam gazety, a że pan osobiście się pofatygował...

– Racja... Czy pamięta pan, ile pieniędzy w przybliżeniu trzymał w banku?

– Nieduże kwoty, ich wysokość ulegała częstym wahaniom, zależnie od wpływów... Powiedzmy, że średnio rachunek opiewał na dziesięć do piętnastu tysięcy franków... Pod koniec każdego miesiąca wybierał tyle, ile potrzebował na życie, około dwóch tysięcy...

– Kiedy widział go pan ostatnim razem?

– Któregoś ranka po otwarciu okienka. Oznajmił mi, że się przeprowadza i chce resztę gotówki. Zapytałem, do jakiej dzielnicy się przeniósł, powiedział, że na Montparnasse...

– Ile mu pan wypłacił?

– Dwanaście tysięcy pięćset franków...

– Wyglądał na zdenerwowanego?

– Nie. Był to jegomość wesoły i miał doskonały zawód. Nawet znani antykwariusze powierzali mu meble do naprawy...

– Jak długo prowadził warsztat na ulicy Lepic?

– Prawie dziesięć lat. Osiem czy dziewięć. Człowiek spokojny, podawał oficjalny adres na Caulaincourt.

– Dziękuję, panie Frochot... Chwileczkę... Jeszcze jedno pytanie... Czy później nie spotkał go pan nigdy na ulicy?

– Odkąd zamknął za sobą drzwi, już go nie widziałem. Nie rozumiem, jak mógł stać się włóczęgą, ja go zawsze uważałem za osobnika zrównoważonego...

Maigret wrócił do służbowego samochodu, w którym czekał Torrence.

– Znalazł pan to, czego pan szukał, szefie?

– I tak, i nie. W każdym razie nie na wiele się to przyda...

– Gdzie pana zawieźć?

Wózki pełne jarzyn i owoców oblegał tłum gospodyń, zgiełk ich głosów ani na moment nie ustawał.

– Na Quai des Orfèvres.

W tym samym czasie trzech inspektorów chodziło od hotelu do hotelu tropiąc ślady Viviena. Mogło to im zająć wiele dni, bo w dzielnicy roiło się od hotelików. Jeśli jednak szczęście im dopisze, od razu zapukają do właściwych drzwi.

I szczęście częściowo im dopisało. Ledwie Maigret usiadł przy swoim biurku, zadzwonił jeden z trzech inspektorów.

– Skąd telefonujesz, Dupeu?

– Z hotelu Morvana na Clignancourt. Vivien mieszkał tu kiedyś i hotelarz dobrze go sobie przypomina. Może lepiej, żeby go pan przesłuchał.

– Idziemy, Torrence...

Torrence nie marzył o niczym innym, nade wszystko lubił szoferować komisarzowi.

– Clignancourt. Hotel Morvana.

Na trotuarze, ćmiąc papierosa, czekał na nich Dupeu. Tablica ze sztucznego marmuru głosiła: „Pokoje do wynajęcia, na miesiąc, tydzień i na dobę”.

Weszli we trzech. Brzuchaty hotelarz, powłóczący płaskimi stopami w kapciach, był nie ogolony i nie domyty, w rozpiętej koszuli na włochatej piersi. Wyglądał na człowieka wiecznie zmęczonego, oczy mu łzawiły.

– Więc to pan, panie Maigret – odezwał się wyciągając do komisarza rękę wątpliwej czystości.

– Powiedziano mi, że był pan tutaj już w czterdziestym szóstym...

– Byłem tu dużo wcześniej...

– Znalazł pan nazwisko Marcela Vivien w pańskich rejestrach?

– Nie trzymam rejestrów przez dwadzieścia lat.

– Ale go pan pamięta?

– Bardzo dobrze go pamiętam. Chłopak był postawny, grzeczny.

– Ile czasu u pana mieszkał?

– Od stycznia do czerwca...

– Jest pan pewny, że nie został do sierpnia?

– Jestem pewny, bo po nim wniosła się damulka, którą musiałem wyrzucić...

– Vivien nie był sam... Znał pan jego dziewczynę? Chyba i dla niej wypisywał pan kartę meldunkową...

– Obyło się bez karty, ponieważ ona tutaj nie nocowała...

– Chce pan powiedzieć, że nie mieszkali razem?

– Tak.

Maigret osłupiał. Tego się najmniej spodziewał.

– Nigdy nie przychodziła do hotelu?

– Nieraz po niego wstępowała przed południem. Wstawał późno, bo rzadko wracał przed drugą czy trzecią w nocy.

– I jest pan pewny, że mieszkał tu sam?

– Gdyby nie, to musiałbym i ją meldować. Policja w takich wypadkach nie żartuje.

– Nigdy nie wchodziła na górę do jego pokoju?

– Bardzo często, ale za dnia, a tego nie mogłem zabronić.

– Zna pan jej imię?

– Słyszałem, jak Vivien wołał na nią Nina.

– Miała jakieś znaki szczególne?

– Znamię na policzku.

– Jak była ubrana?

– Zawsze na czarno. Przynajmniej za każdym razem, kiedy ją widziałem.

– Vivien miał duży bagaż?

– Jedną walizkę, dość tandetną, całkiem nową, kupioną chyba dzień przedtem...

Trzej mężczyźni spojrzeli na siebie. Dowiedzieli się tylko tyle, że Vivien opuścił hotel Morvana w czerwcu, co dowodziło, że gdzie indziej spędził lipiec i część sierpnia.

Jeśli chodzi o dziewczynę, to nadal nie znali jej nazwiska. Czy mieszkała w innym hotelu, u rodziny, czy też wynajmowała samodzielne mieszkanie?

Niezwykły ruch panował tego ranka na Quai des Orfèvres. Wczorajszy deszcz nie odświeżył powietrza. Przeciwnie, było jeszcze goręcej niż w dni poprzednie i wielu mężczyzn niosło marynarki na rękę.

W niespełna kwadrans po powrocie Maigreta do biura zaterkotał telefon. Dzwonił

Lourtie, i on także z Montmartre'u; ci dwaj najwyraźniej mieli szczęśliwą rękę.

– Szefie, jestem na placu des Abbesses. Mówię z bistra naprzeciw hotelu Jonarda. Hotelarz, jak się zdaje, nie ma wiele do powiedzenia, ale sobie pomyślał, czy nie wolałby go pan przesłuchać...

– W drogę, Torrence...

– Dokąd tym razem?

– Hotel Jonarda, plac des Abbesses...

Fasadę pokrywała biała ceramika, w holu pachniało czosnkiem.

– Wszystko, co wiem, przekazałem pańskiemu inspektorowi.

Jonard nie był rozmowny, nie był też wesoły.

– Dobrze go pan pamięta?

– Dobrze, to za dużo powiedziane. Pamiętam go, bo miał zabawną przyjaciółeczkę...

– Meldował ją pan?

– Nie. Nigdy nie nocowała. Wpadała czasem w ciągu dnia...

– Kiedy u pana zamieszkał?

– W czerwcu, jeżeli się nie mylę...

– A kiedy się wymeldował?

– Gdzieś w sierpniu... Raczej pod koniec miesiąca... Zachowywał się jak należy, był bardzo uprzejmy, czego nie można by rzec o wszystkich lokatorach...

Wciąż żadnej, najmniejszej bodaj informacji o dziewczynie, nic prócz znamienia na lewym policzku; działało to doprawdy zniechęcająco.

– Możesz wracać na Quai des Orfèvres – rzekł Maigret do Lourtie'ego.

Sam natomiast kazał się zawieźć do komisariatu jedyńki. W progu otwartych drzwi gabinetu powitał go Ascan.

– Powiedziano już panu, że telefonowałem?

– Nie. Jadę z Montmartre'u.

– Telefonowałem, bo mamy trochę nowin. Nic nadzwyczajnego, ale myślę, że może się to panu przydać. Proszę usiąść.

Maigret nabił powoli fajkę i nim ją zapalił, otarł pot z czoła.

– Moi inspektorzy przycisnęli do muru najstarszego kloszarda spod Hal. Wszyscy nazywają go Toto. Niech pan zwróci uwagę na fakt, że dopiero od piętnastu lat Toto się tutaj zainstalował. Przetrzymuję go na wszelki wypadek, ponieważ tych łazików nie zawsze łatwo odszukać...

Diżurny policjant wyszedł, żeby wprowadzić owego Toto. Od włóczgi zalatywało winem, ale nie był pijany.

– Długo jeszcze będziecie mnie więzić w tej klatce? Jestem człowiek wolny, no nie? I mam czyściutkie konto...

– Komisarz Maigret chce cię o coś zapytać.

– Jak się znalazłeś pod Halami?

– Przyjechałem z Tuluzy.

– Co tam robiłeś?

– To samo co tutaj. Tylko że na prowincji bardziej człowieka prześladują.

– Nigdy nie miałeś stałego zatrudnienia?

Toto zdawał się głęboko nad tym zastanawiać.

– Zawsze dźwigałem skrzynie i kosze.

– A w młodości?

– Uciekłem z domu, kiedy miałem czternaście lat. Trzy razy odstawiano mnie do rodziców i za każdym razem nawiewałem. Musieli by mnie wiązać.

– Od dawna w Paryżu?

– Piętnaście lat... Poznałem wszystkich kloszardów... Patrzyłem, jak umierają najstarsi i jak przychodzą nowi...

– Znałeś Marcela Vivien?

– Nie z nazwiska. Nazwisko usłyszałem dopiero od pańskiego inspektora... Tak, już go tutaj zastałem... Nie lubił rozmawiać... Zawsze był sam, a jeśli się do niego zwracano, to bąkał coś pod nosem albo i wcale się nie odzywał.

– Gdzie nocował?

– W tamtych czasach to nie wiem gdzie. Nieraz go spotykałem w Armii Zbawienia... Potem ktoś mi mówił, że znalazł sobie kąt w jakiejś ruderze...

– Nigdy nie pokazywał się z kobietą?

Toto parsknął śmiechem, jak gdyby pytanie go rozbawiło.

– Nie, panie komisarzu. Do niego to nie pasuje. I dałbym głowę, że wywodził się z panów. A trzeba wiedzieć, że w naszej ferajnie mieliśmy jednego doktora, ale ten się rozpił i długo nie pociągnął...

– Widywano Viviena z kimś nieznanym?...

– Nie... A w ogóle dlaczego miałem się nim zajmować...?

– Dziękuję...

Toto obrócił się w stronę komisarza policji.

– Mogę odejść?

– Tak – rzekł Ascan i zawołał do dyżurnego: – Dawaj następną!

– Kobieta?

– Tak.

Wypadałoby raczej powiedzieć monstrum, nie kobieta. Była tak gruba i zwalista, że z trudem mieściła się na krześle. Nogi i nadgarstki miała opuchnięte. Pijana, choć przytomna, patrzyła wyzywająco na obecnych.

– Co tam znowu macie przeciwko Nanie?

– Nic – odparł Ascan. – Odpowiesz na parę pytań...

– A dostanę na flaszkę?

– Zgoda...

Podniosła się, żeby wyciągnąć rękę. Wołała otrzymać zapłatę z góry i Ascan położył na jej brudnej dłoni pięć franków.

– Pospieszcie się, bo mnie suszy...

– Powiedziałaś inspektorowi, który cię dziś w nocy przepytował, że widziałaś, jak ktoś wchodzi do domu w zaułku Vieux-Four...

– To najprawdziwsza prawda.

– Kiedy to było?

– Ze trzy, cztery dni temu... Nigdy nie wiem, którego akurat mamy... Dla mnie, rozumiecie, to bez różnicy... Mogę tylko powiedzieć, że było to w nocy, a rano znaleziono tego trupa...

– O której w nocy?

– Koło trzeciej...

– Jak wyglądał ten człowiek?

– Niemłody, ale i nie stary. Trzymał się prosto. Od razu było widać, że nie spod Hal...

– Po czym było widać?

– Bo ja wiem? To się czuje.

– Nigdy przedtem go nie widziałaś?

– I owszem.

– Kiedy?

– Tego samego wieczora, przed dziesiątą... Wyszedł z restauracji Pharamonda i patrzył, jak wyładowuje się warzywa, owoce i ryby. Jasne, że to był ktoś obcy, bo się wszystkim ciekawił.

– Był tam Marcel Vivien?

– Ten ze zdjęcia w gazetach? Zdaje się, że pomagał przy wyładunku.

– Nie zaczepiał go mężczyzna, którego potem widziałaś o trzeciej w nocy?

– Nie... Nie wiem... W głowie mi się mąci od tych wszystkich pytań i cholernie chce mi się pić...

Maigret dał znak, że skończył przesłuchanie, i kobietę zwolniono. Za godzinę, gdy opróżni litrową butelkę sikacza, znów ją znajdą pijaną w sztok na trotuarze.

– Moi ludzie – rzekł Ascan – może jeszcze na coś wpadną dzisiejszej nocy, ale sądzę, że tych dwoje miało interesujące rzeczy do powiedzenia.

– Tak – potwierdził Maigret zapalając wygasłą fajkę. – Przed wszystkim dowiedzieliśmy się, że włóczył się od piętnastu lat. Następnie, że tej nocy, kiedy został zabity, był koło Hal jakiś obcy mężczyzna... który musiał spojrzeć Viviena,

gdy ten wyładowywał warzywa... Czy z rozmysłem go śledził? Tego nie wiemy. Tak czy owak spotykamy nieznanego osobnika w zaułku Vieux-Four około trzeciej nad ranem... Jeśli to on zabił, to zapewne wrócił przedtem do domu po pistolet, wydaje się bowiem mało prawdopodobne, by jadł kolację u Pharamonda z bronią takiego kalibru w kieszeni...

– Nie wiemy jednak, kim jest ani gdzie mieszka... Równie dobrze mógł przyjechać z prowincji...

– Uważa pan, że ta gruba kobieta nie zmyśla?

– Dziwiłbym się, gdyby zmyślała... Kłoszardzi nie lubią ściągać sobie na kark policji, która może im przysporzyć sporo kłopotów...

– Pozostaje jeszcze do wypełnienia pięcioletni okres, od momentu, gdy Vivien przestał mieszkać w hotelikach na Montmartrze, do momentu gdy pojawił się pod Halami... Może zresztą przez cały ten czas wałęsał się gdzieś w pobliżu...

– Toto jest najstarszy z kłoszardów... Ci ludzie nie dożywają późnego wieku... Szkoła fryzjerska jeszcze wtedy nie istniała... Co do sklepikarzy, dorabiają się oni dość szybko i przenoszą się na wieś... Niełatwo będzie trafić na kogoś, kto tu był w roku czterdziestym szóstym...

– Dziękuję – Maigret westchnął i wstał z krzesła. – Dostarczył mi pan cennych wskazówek. Chciałbym móc to samo powiedzieć o moich chłopcach z Montmartre'u.

– Nie wykryli żadnego śladu?

– Owszem, wykryli. Nawet nie w jednym hotelu, a w dwóch. Ale przyjaciółka Viviena nie spędzała u niego nocy. Ani w jednym, ani w drugim hoteliku. Może mieszkała w innym hotelu, może miała własne lokum. Gdyby mieszkała z rodzicami, nie mogłaby noc w noc wracać przed świtem. Brak nazwiska, brak adresu. Tylko to ciemne znamię na lewym policzku...

– W końcu ją pan wytropi...

– Byłaby to nieoczekiwana szansa. A co do gościa z restauracji Pharamonda, to nikła jest nadzieja, że znów pokaże się w okolicy Hal. Jeśli zabił Viviena, to nie zechce, by go tam widziano...

– Mimo wszystko nie przerwiemy akcji...

– Wielkie dzięki, Ascan...

Wrócił do służbowego samochodu i Torrence odwiózł go na Quai des Orfèvres. Po zbyt krótkiej przerwie nastąpił niesamowity upał. Maigret miał ochotę paradować bez marynarki tak jak inni. W gabinecie natychmiast się jej pozbył.

– Nic nowego?

– Dzwoniła kobieta... Pani Delaveau... Córka Viviena.

– Powiedziała, o co chodzi?

– Nie. Może pan do niej zatelefonować, przed południem nie wychodzi z domu...

Maigret poprosił o numer jej telefonu; po drugiej stronie przewodu, na tle dziecięcych pokrzykiwań, rozległ się głos pani Delaveau.

– Halo! Komisarz Maigret?

– Tak, proszę pani.

W głosie Odette nie było już tej napastliwości, jaka cechowała ją podczas ich pierwszego spotkania.

– Nie wiem, czy ten szczegół, o którym chcę pana poinformować, zasługuje na uwagę. Przekażę go panu, o ile wstąpi pan do mnie wczesnym popołudniem. Później muszę iść z dziećmi na spacer. Myślę, że po rozmowie z panem będę miała spokojniejsze sumienie...

Maigret jadł obiad w domu. Był tak roztargniony, że nie zdobył się nawet na słowa uznania dla swej ulubionej potrawy z drobiu w winnym sosie, którą przyrządziła mu żona.

– Jesteś zdenerwowany, prawda? – zaryzykowała pytanie pani Maigret. – Odkąd zaczęła się ta sprawa, jesteś w kiepskim humorze. Jakby cię coś dręczyło...

– Przecież wiesz, że podczas każdego śledztwa zawsze następuje taki moment, kiedy tracę wiarę w siebie. Mam wrażenie, że posuwam się krok naprzód, a w istocie drepczę w miejscu. Nie zapominaj, że próbuję odtworzyć to, co w większości działo się przed dwudziestu laty... Na domiar złego Marcel Vivien, zabity w pobliżu Hal, wygląda mi nieraz sympatycznie, a nieraz budzi we mnie odrazę...

– Poradzisz sobie, zobaczysz.

– Muszę sobie poradzić w ten czy inny sposób. To mi przypomina, że powinienem pogadać z sędzią śledczym...

Na Quai des Orfèvres zabawił krótko i Torrence znów podjął funkcję kierowcy.

– Hale? Montmartre?

– Montmartre. Odette Delaveau na Marcadet.

W barwnej kwiecistej sukni wyglądała młodo i świeżo.

– Proszę, niechże pan siada.

Dzieci zapewne spały, bo nie było ich słyhać i nie bawiły się w saloniku. Odette Delaveau mówiła półgłosem.

– Znalazł pan adres dziewczyny? – spytała.

W gazetach nie było jeszcze o niej wzmianki. Tej części śledztwa Maigret wołał nie ujawniać przedwcześnie. Odpowiedział więc z miną niewiniątka:

– Jakiej dziewczyny?

Uśmiechnęła się chytrze.

– Boi się pan narazić, prawda? Niezupełnie mi pan dowierza.

– Nie dostałem odpowiedzi na moje pytanie.

– Mówię o dziewczynie, dla której porzucił nas ojciec. Wtedy nie miałam o niej

pojęcia. Matka nigdy się nie zdradziła... Wbrew temu, co twierdzi, była bardzo zazdrosna i często go szpiegowła, gdy wychodził z warsztatu. Wiedziała więc o wszystkim, zanim zniknął. Nic mi o tym nie mówiła, ale zamknęła się w sobie. I nie mnie się zwierzyła, kiedy byłam już na tyle dorosła, żeby zrozumieć. Opowiem panu o czymś, co zdarzyło się przed wielu laty; wówczas jeszcze mieszkaliśmy razem. Mój wujek Charles handlował na wielką skalę sztucznymi nawozami i zawsze, ilekroć przyjeżdżał z Meaux do Paryża, odwiedzał swoją siostrę. Gdy zostaliśmy same, bez pieniędzy, bez żadnego oparcia, to on, jestem tego pewna, pomagał matce, dopóki nie zaczęła zarabiać.

Maigret machinalnie nabił fajkę i wciąż trzymał ją w ręku.

– Może pan zapalić... Mąż kurzy cały wieczór, oglądając telewizję... No więc któregoś dnia siedziałam w moim pokoju, drzwi do bawialni nie były dobrze zamknięte i słyszałam, jak wujek rozmawia z mamą. Do dziś pamiętam, co mówiła. „Dobrze, że się to tak skończyło. Nie mogłabym żyć dłużej z człowiekiem, który lata za inną. – Przekonałaś się o tym? – Szłam za nimi nie raz i nie dwa. Udało mi się poznać ich zwyczaje i wiem, gdzie ona mieszka... Nawet się nie pofatygowali wynieść z dzielnicy. Marcel wariuje za nią. Jeszcze nie widziałam żadnego chłopca w takim stanie. Zrobi wszystko, byle jej nie utracić...” Słyszysz pan? Powiedziała do wujka: „Wiem, gdzie ona mieszka...” Nagle przypomniałam sobie te jej słowa i dlatego do pana zadzwoniłam.

– Matka nie podała mu tego adresu?

– Nie. Omawiali sprawy finansowe. Wuj pytał, czy są rachunki do zapłacenia i czy należą się nam jakieś pieniądze od klientów... Przypuszczam, że ten adres pana interesuje?

– Bardzo. Kilku moich inspektorów bezowocnie traci czas na poszukiwania... Nie znamy nawet nazwiska tej dziewczyny.

– Jestem przekonana, że matka je zna. Niech pan tylko nie przyzna się, że to ja pana do niej skierowałam...

– Proszę się nie obawiać... I serdecznie dziękuję... Może pamięta pani mężczyznę bardzo wysokiego, bardzo chudego, z długą twarzą i ciemnymi oczyma?

– Kiedy mogłam go spotkać?

– Nie wiem. Może przed dwudziestu laty. Może całkiem niedawno.

– Nie znam nikogo takiego... Czy to ważne?

– Jest on zabójcą pani ojca, jak wynika z zeznań pewnego świadka.

Lekki cień przemknął po twarzy młodej kobiety.

– Nie. Nie znam go.

Na pożegnanie uściśnęła mu rękę.

– Życzę, żeby się panu powiodło u mamy...

Kazał się zawieźć na ulicę Caulaincourt; tutaj długo musiał czekać przed drzwiami.

– To pan! – westchnęła pani Vivien jakby z urazą.

– Musi pan zostać w przedpokoju, bo mam przymiarkę...

Wskazała mu krzesło, które nie okazało się wygodne. Maigret usiadł grzecznie, z kapeluszem na kolanach, z nie zapaloną fajką w prawej ręce. Z sąsiedniego pokoju dobiegały kobiece głosy, ale chwycił tylko pojedyncze słowa.

Siedział tak około pół godziny. Wychodząca klientka, uśmiechnięta blondynka z obfitym biustem, przyjrzała mu się badawczo. Kiedy znikła za drzwiami, pani Vivien obróciła się ku gościowi.

– Czy już nigdy nie dacie mi spokoju?

– Zapewniam panią, że staram się jak najmniej panią niepokoić...

– Ładnie bym wyglądała, gdyby nie był pan aż tak uprzejmy...

– Szanuję pani żałobę...

– Jaka tam żałoba!? – powiedziała twardym tonem.

– Byłam na cmentarzu, bo pan nalegał. Pochowano go wreszcie, wzięłam udział w pogrzebie, teraz powinien pan być zadowolony...

– Wydaje się, że go pani nienawidziła...

– To prawda.

Weszli do pokoju; najeżona szpilkami suknia leżała rozciągnięta na stole.

– Z powodu tej jego kochanki?

Wzruszyła ramionami, jakby to pytanie było śmieszne.

– Niech pan posłucha, panie komisarzu... Chyba lepiej, żebyśmy otwarcie z panem porozmawiała... Przez długie lata Marcel był człowiekiem nadzwyczajnym, bez reszty oddanym pracy i doskonałym mężem. Nigdzie nie bywał sam, wszędzie zabierał i mnie, i córkę... Raptem wszystko się odmieniło... Wychodził prawie co wieczór i nie dbał o wymówkę... Po prostu wychodził... A wracał dobrze po północy...

– Wtedy zaczęła go pani śledzić?

– Każda by to zrobiła na moim miejscu, nie?

Czy kiedykolwiek go kochała? Budziło to pewne wątpliwości. Był jej towarzyszem życia, tak, i zarabiał na utrzymanie rodziny. Ale czy ona była zdolna do czułości?

– Śledziłam ich, tak. Bo oczywiście nie szwendał się samotnie. Wyglądali jak para zakochanych dzieciaków, które aż skaczą z radości, że są razem... Dziewczyna miała najwyżej dwadzieścia lat, a on trzydzieści pięć. Chyba nie zdawali sobie sprawy, że się ośmieszają. Obejmował ją w tali. Nieraz tańczyli na trotuarze, potem ściskali się i wybuchali śmiechem. Wie pan dlaczego? Tylko dlatego, że jeszcze raz mogli się pocałować pod latarnią gazową... Weszłam za nimi do kina, zachowywali

się tam jeszcze gorzej... wstyd powiedzieć... Po kinie szli do piwiarni.

– Do „Cyrano”.

– I to pan wie?

– Działo się to w styczniu czy w lutym czterdziestego szóstego.

– W styczniu, kiedy już nie był z nami... Ale i przedtem go śledziłam...

– Nigdy nic mu pani nie mówiła na ten temat?

– Nie... Nie miałam nic do powiedzenia... Nie mogłam go zatrzymać siłą, prawda?... Stał się zresztą innym człowiekiem, tego nigdy bym się po nim nie spodziewała...

– Mieszkał w hotelu Morvana?

– Skąd pan to wszystko wie?

– W czerwcu przeniósł się do Jonarda na placu des Abbesses...

– Wtedy go straciłam z oczu...

– Nie mieszkał razem z dziewczyną?

– Ona mieszkała na bulwarze Rochechouart, odziedziczyła to mieszkanie po matce, która zmarła rok wcześniej.

– Wie pani, jak się nazywa?

– Tak. Pytałam dozorczynię. Nazywa się Nina Lassave...

– Spotykała ją pani w ciągu następnych dwudziestu lat?

– Nie.

– Nigdy nie poszła pani na bulwar Rochechouart, żeby o nią zapytać?

– Ani mi to było w głowie! Zaczęłam pracować. Mówiła to głosem twardym i chłodnym, bez najmniejszego wzruszenia.

– Pamięta pani numer domu na bulwarze Rochechouart?

– Nie... To niedaleko placu Pigalle... Między apteką i ciastkarnią...

– Nie dziwiło pani, że mąż został kloszardem?

– W każdym razie dowodzi to, że już z nią nie był. Od dawna włóczył się pod Halami?

– Od co najmniej piętnastu lat. Przypuszczalnie dłużej...

– Dobrze mu tak...

Maigret z trudem powstrzymał uśmiech. Tę kobietę wprost dławiała nienawiść.

– Jestem wdzięczny, że zechciała mnie pani przyjąć.

– Teraz, kiedy już pan wie, co czuję, da mi pan wreszcie święty spokój?...

– Postaram się jak najrzadziej panią niepokoić... Powiedziała pani Nina Lassave, prawda? Nie wie pani, czy ona pracuje?

– Na początku ich związku była ekspedientką w sklepie bielizniarskim na ulicy Lepic. Ale rzuciła pracę... Miała łatwiejsze źródło dochodu...

– Dziękuję pani.

Pożegnał ją niemal kurtuazyjnie. Po jego wyjściu będzie na nowo rozpamiętywać wszystkie żale i urazy.

Maigret wsiadł do wozu, w którym Torrence, czekając na niego, czytał popołudniową gazetę.

– Przejedziemy się ulicą Lepic.

– Obok jego warsztatu?

– Nie. Chodzi mi o sklep z bielizną... Zdaje się, że go zauważyłem w dolnej części ulicy...

Witryna była wąska. Zaszuszonej starej panny układała na ladzie damskie kombinacje. Zaskoczył ją widok samotnego mężczyzny.

– Co dla pana?

– Komisarz Maigret z Policji Kryminalnej... Szukam kobiety, która tu kiedyś pracowała... Od jak dawna prowadzi pani ten sklep?...

– Od czterdziestu lat, proszę pana...

– Wobec tego była tu pani w czterdziestym piątym i szóstym...

– W życiu nie miałam trzech miesięcy wakacji. Przedtem pomagała mi siostra, ale zmarło jej się w ubiegłym roku.

– Przypomina sobie pani niejaką Ninę Lassave?

– Zatrudniałam ją przez dwa lata. Kiedy się zgłosiła, miała niespełna osiemnaście lat i była świeżutka, dosyć ładna...

– Nigdy nie miała pani jej nic do zarzucenia?

– W ostatnich czasach martwiło mnie jej zachowanie. Zauważyłam, że jakiś mężczyzna wyczekuje na nią przed zamknięciem sklepu... stawał po drugiej stronie ulicy, na trotuarze. Był od niej dużo starszy. Trwało to ze dwa miesiące, aż w końcu powiedziała, że musi mnie opuścić. „Żeby wyjść za mąż?” – spytałam. Roześmiała się, takie się jej to wydało komiczne.

– Widziała ją pani później?

– Nie. Nie wiem, co się z nią stało. Obawiam się, że zeszła na złą drogę. A jednak, powtarzam panu, kiedy się po raz pierwszy tu zjawiała, była świeża jak pączek róży. I taka miła...

Maigret podziękował i po chwili znów siedział w wozie policyjnym.

– Na razie interesuje się pan bielizną damską, szefie?

– Mam wreszcie nazwisko kochanki Viviena... Dwadzieścia lat temu pracowała w tym sklepie... A teraz jedziemy obejrzeć sobie dom, w którym mieszkała. Może jeszcze tam mieszka, bo ten lokal odziedziczyła po matce...

– Adres?

– Bulwar Rochechouart... Niedaleko placu Pigalle... Między apteką i ciastkarnią...

– Już wiem! Dostał pan adres od tej bieliźniarki?

– Nie. Od pani Vivien... Bluznęła nim jak przekleństwem. W życiu nie widziałem tyle nienawiści, ile było w oczach tej kobiety, gdy mówiła o mężu i jego kochance...

Na ulicach i bulwarach panował spokój. Najpierw dostrzegli aptekę, potem cukiernię. Rozdzielała je pomalowana na brązowo brama; niewielkie drzwi w bramie były otwarte. Pośrodku brukowanego podwórka rosła wspaniała lipa. Maigret zapukał do dozorcówki. Powitała go młoda, sympatycznie wyglądająca kobieta w białym fartuszk.

– Pan do kogo?

– Zważywszy pani wiek, pracuje tu pani chyba od niedawna.

– No, w każdym razie od pięciu lat...

– Czy przypadkiem jest jeszcze wśród pani lokatorek Nina Lassave?

– Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

– A Vivien?

– Ten, co go zamordowali koło Hal? Pisali o nim w gazetach.

– Nic pani nie wie o poprzedniej dozorczydni?

– Wróciła na starość w swoje strony... Jej syn ma winnice blisko Sancerre...

– Jak się nazywa?

– Czekaj pan... Mało ją widywałam... Michou... Chyba Michou... Takie nazwisko łatwe do zapamiętania... Clémentine Michou.

Maigret podziękował.

– Jedziemy do biura – rzekł do Torrence’a.

– I nie napijemy się piwka?

W barze na ulicy Notre-Dame-de-Lorette zamówili dwa piwa. Maigret zaczynał z nadzieją patrzeć na całą sprawę. Skoro zdobył nazwisko dziewczyny, to i ją niewątpliwie wkrótce odnajdzie.

– Gdy tylko wrócimy, wpadniesz do kartoteki i sprawdzisz, czy nie ma jakiejś notatki przy nazwisku Niny Lassave... Jeżeli nic nie będzie, zwrócisz się do obyczajówki. Nigdy nie wiadomo...

– Jasne.

Kiedy znalazł się w swoim gabinecie, zrzucił marynarkę i stanął przy oknie nabijając fajkę. Nie był mimo wszystko w pełni zadowolony; pani Maigret rzekłaby nawet, że jest zdenerwowany.

Miałaby słuszność. Kierował śledztwem najlepiej jak potrafił, obejmując nim i teraźniejszość, i przeszłość. Miał już liczące się wyniki, ale wciąż mu się zdawało, że coś pominął. Co? Nie umiał tego sprecyzować i czuł się nieswojo.

– Niech mnie pani połączy, proszę, z żandarmerią w Sancerre. Chcę mówić z komendantem, jeśli jest, oczywiście... A jeśli go nie ma, to z kimkolwiek w jego biurze...

Chodził wzdłuż i wszerz gabinetu. Za dwa tygodnie, myślał, sprawa zostanie prawdopodobnie zamknięta i będzie mógł wyjechać wraz żoną do Meung-sur-Loire, gdzie odpręży się w ich własnym domku. Nie było stamtąd daleko do Sancerre.

– Halo, tak... Komendant żandarmerii w Sancerre? Tu komisarz Maigret z Policji Kryminalnej. Przepraszam, że pana niepokoję dla zwykłej informacji, ale może ona mieć duże znaczenie. Macie tam u was winogradnika, niejakiego Michou?...

– Mamy dwóch Michou i, co zabawniejsze, nie są spokrewnieni...

– U jednego z nich mieszka matka, od pięciu lat mniej więcej, dłuższy czas była dozorczynią w Paryżu...

– Clémentine Michou, tak...

– Nadal jest u syna?

– Zmarła w zeszłym roku...

Wciąż to samo: krok naprzód, krok do tyłu...

– Chce pan pomówić z jej synem?

– Nie. Tylko ona mogłaby odpowiedzieć na moje pytania. To stara sprawa, sprzed dwudziestu lat...

– W takim razie domyślam się... Sprawa Viviena, nieprawdaż? Jak idzie?

– Żle. Zwłaszcza teraz... Liczyłem na tę Michou, zmarła o rok za wcześnie...

Dziękuję, panie komendancie... Jak będzie z winem w tym roku?

– Jeśli nie popsuje się pogoda, będzie to rok wyjątkowy.

– Życzę wam tego... Dziękuję...

Usiadł za biurkiem. Podczas całej rozmowy stał wyglądając przez okno. Patrzył zafascynowany na czerwono-czarny holownik, który ciągnął cztery barki.

– Już jestem, szefie...

– Nic?

– Żadnego dossier z jej nazwiskiem, a ci z obyczajówki nic o niej nie słyszeli...

Zaterkotał telefon.

– Ktoś do pana, panie komisarzu, ale nie chce podać nazwiska.

– Niech pani jednak połączy...

Głos był przytłumiony. Mężczyzna nie chciał, by go poznano, mówił zapewne przez chusteczkę.

– Chce pan dobry cynk, panie Maigret?

– Na jaki temat?

– Na temat sprawy, którą się pan chwilowo interesuje. Niech pan sobie zapisze nazwisko, które podają: Mahossier... To wszystko. Pana kolej...

I odłożył słuchawkę.

Rozdział 5

– Torrence! Przynieś mi z pokoju inspektorów książkę telefoniczną.

Maigret odszukał w spisie nazwisko Mahossier. Nie wyobrażał sobie, że jest ich aż jedenastu, i to tylko w Paryżu. Którego chciał wskazać anonimowy informator?

Maigret wziął się do roboty, uprzedziwszy panienkę z centralki, że na dłużej zajmuje linię.

Pierwszy z Mahossierów, którego zawodu nie podano, nie odpowiadał na sygnał. Podobnie było w drugim przypadku.

Potem trafił na właścicielkę kwaciarni w Passy.

– Zastałem pani męża?

– Nie mam już męża. Od pięciu lat jestem rozwódką.

Następny numer i znów milczenie. Większość paryżan przebywała oczywiście na wakacjach.

Połączył się ze szkołą daktylografii i stenografii na bulwarze Woltera – nikt nie podniósł słuchawki.

Kolejny Mahossier także milczał. To już czwarty. Pozostawało ich jeszcze siedmiu i Torrence stojący przy oknie podziwiał cierpliwość swego szefa.

Maigret pominął piąty numer, bo należał on do lekarza z placu des Vosges, a chwilę później uzyskał połączenie z przedsiębiorstwem robót tynkarsko-malarskich na avenue Trudaine.

– Halo! Z kim chce pan mówić?

– Z panem Mahossier.

– Pan Mahossier wyjechał wczoraj do La Baule.

– Długo go nie będzie?

– Co najmniej trzy tygodnie. Może cztery. A kto mówi?

– Czy to jego mieszkanie prywatne?

– Nie. Biuro i magazyny. Państwo Mahossier mieszkają na ulicy Turbigo.

– Mają willę w La Baule?

– Tak. „Pins Parasols”. Wyjeżdżają tam rokrocznie od lat dziesięciu.

Avenue Trudaine przywiodła go z powrotem na Montmartre. A ulica Turbigo znajdowała się blisko Hal.

Maigret znów zaczął krążyć po gabinecie. Bał się trochę ośmieszyć – nawet w oczach Torrence’a – przywiązywaniem zbyt wielkiej wagi do anonimowego telefonu.

– Bądź łaskaw zadzwonić do Air Inter. Spytaj, czy jutro rano jest samolot do La Baule i czy możliwy byłby powrót tego samego dnia.

Torrence wyszedł, by zatelefonować z sąsiedniego pokoju, i zjawił się w parę minut później.

– Jest samolot o dziesiątej rano, a z La Baule do Paryża o osiemnastej trzydzieści. Zarezerwować panu miejsce?

– Bardzo proszę.

Mahossier... Mahossier... Maigret powtarzał sobie to nazwisko, wysilając aż do bólu pamięć. Znał je, słyszał je w każdym razie lub widział na jakimś szyldzie.

Poszedł na górę do sędziego śledczego.

– Ma pan coś nowego, panie Maigret? – przywitał go uprzejmie młody Cassure.

– Niewiele nowego, znaleźliśmy jednak nazwisko i stary adres dziewczyny, dla której Vivien opuścił żonę i córkę.

– Co się z nią dzieje?

– Konsjerżka nastąpiła tam nie tak dawno. Poprzednia przeniosła się do Sancerre... zresztą już nie żyje... lokatorzy to ludzie przed czterdziestką.

Zawahał się, ale zebrał się na odwagę.

– Dostałem anonimowy telefon...

– Znowu od jakiegoś pomyleńca?

– Nie wiem. Może warto by zaryzykować. Mówił o niej jakimś Mahossier. W książce telefonicznej jest ich jedenastu. Siedmiu na wakacjach. Wśród czterech pozostałych wydaje mi się podejrzany tylko właściciel przedsiębiorstwa robót malarskich.

– Chce się pan z nim zobaczyć?

– Za pańskim przyzwoleniem. Wczoraj wyjechał z żoną do własnej willi w La Baule. Nie wróci przed trzema tygodniami. Nie ma żadnych poszlak, że jest zamieszany w naszą sprawę, ale nie wiem dlaczego, trudno mi się będzie uspokoić, dopóki z nim nie pomówię...

– Zamierza pan jechać do La Baule?

– Rano mam samolot Air Inter i powrotny późnym popołudniem.

– To pan kieruje dochodzeniem...

– Dziękuję. Może lepiej, jeśli się zaopatrzę w rekwizycję sądową na wypadek, gdyby ten Mahossier zanadto się opierał...

Sędzia Cassure nie zwlekając złożył swój podpis na formularzu.

– Powodzenia, Maigret.

Wczesnie wrócił na obiad, zjadł porcję mięsa na zimno, ser i sałatę, wieczór spędził przed ekranem telewizora... Od czasu do czasu powtarzał półgłosem niby zaklęcie:

– Mahossier... Mahossier...

Żadne konkretne wspomnienie nie wynurzało się z pamięci.

– A propos – rzekł do żony – jutro nie będę na obiedzie.

– Masz dużo pracy?

– Niespecjalnie, ale muszę jechać do La Baule.

– Do La Baule?

– Tak. Muszę się tam z kimś zobaczyć. Polecę samolotem, wrócę wieczorem koło wpół do dziewiątej.

Wiedział z doświadczenia, jak wielu przestępców pochwycono dzięki informatorom policji bądź anonimowym telefonom. Kiedy się obudził, jaskrawe słońce było już wysoko na niebie, a powietrze jakby zastygło w bezruchu. Był z tego zadowolony, ale niezbyt lubił podróżować samolotem, w którym doznawał uczucia odosobnienia.

– Do wieczora.

– Może wygospodarujesz czas na kąpiel w morzu – zażartowała.

W żarcie tym kryła się aluzja, bo Maigret nie umiał pływać. Był to jeden z powodów, dla których zawsze spędzali wakacje na wsi, nigdy nad morzem.

Niewielki dwuśmigłowiec przy olbrzymich maszynach transatlantyckich robił wrażenie dziecinną zabawką. Mógł pomieścić ledwie osiem osób. Maigret przyjrzał się im odruchowo. Dwoje dzieci wierciło się nieustannie i paplało bez przerwy.

Daremnie usiłował się zdrzemnąć. I wreszcie po dwóch godzinach wylądowali na lotnisku w La Baule. Już od pewnego czasu widzieli z góry połyskujące morze, a w oddali statek zdający się płynąć po linii horyzontu.

Maigret wszedł do taksówki.

– Wie pan, gdzie jest willa „Pins Parasols”?

– Nie ma pan adresu?

– Nie.

– A kto tam mieszka?

– Mahossier... Louis Mahossier...

– Niech pan zaczeka.

Taksówkarz wbiegł do małego baru, żeby zajrzeć do miejscowej książki telefonicznej.

– Dobra jest! – rzekł wracając.

- Daleko stąd?
- Za hotelem „Hermitage”...

Wszystko tu było całkiem inne i obce. Mężczyźni w szortach mieli rozpięte na piersi koszule. Na plaży, ciągnącej się na przestrzeni wielu kilometrów i przeciętej kilkoma rzędami parasoli, wczasowicze prażyli się w słońcu i pływali w morzu.

Willa stojąca w cienistej alei, dość daleko od drogi, wyglądała okazale. Maigret nie mógł znaleźć dzwonka elektrycznego. Białe malowane drzwi były półprzymknięte. Na tarasie stały ogrodowe fotele i stół.

Uchylił nieco szerzej drzwi i zawołał:

- Jest tam kto?

Nie od razu mu odpowiedziano. Dopiero po trzecim okrzyku ukazała się w mrocznym korytarzu młodzieńka pokojówka w białym fartuszkach.

- O co się rozchodzi?
- Chciałbym mówić z panem Mahossierem.
- O tej porze państwo są na plaży. Może pan przyjdzie po południu.
- Wolałbym zaraz spotkać się z nimi na plaży.
- Pan ich zna?
- Nie.

– Skręci pan w lewo na końcu tej pierwszej ulicy i kamiennymi schodkami zejdzie pan na plażę... Czwarta kabina. Ma wydrukowany na płótnie numer dwadzieścia cztery.

- A nie zechciałabyś zaprowadzić mnie do nich?
- A kto będzie pilnował domu?
- W jakim wieku jest pan Mahossier?
- Nie wiem dokładnie. Pracuję u nich tylko w wakacje. Może pięćdziesiąt?
- Jak wygląda?
- Jeszcze dobrze się trzyma, bardzo wysoki, bardzo chudy, włosy mu już siwieją koło uszu...

- A pani Mahossier?
- Jest dużo młodsza. Nie dałabym jej więcej niż czterdzieści.
- Jaki numer kabiny powiedziałas?
- Dwudziesty czwarty.

Plażowicze mijali go idąc całymi rodzinami; byli już w kąpielówkach i kostiumach, niektórzy mieli skórę poparzoną od słońca.

Maigret trafił do wejścia na plażę; przemykał się między wyciągniętymi na piasku ciałami. Z łatwością odnalazłabinę z pomarańczowego płótna oznaczoną numerem 24.

Przed kabiną leżała kobieta; twarz jej nie była widoczna, wysmarowane olejkami

plecy lśniły w słońcu.

Maigret rozglądał się szukając oczyma mężczyzny odpowiadającego rysopisowi Mahossiera. Nie opodał, w miejscu gdzie fale leniwie obmywały brzeg, gimnastykowało się w szeregu ze dwudziestu mężczyzn pod okiem instruktora. Jeden z nich wyróżniał się wzrostem i szczupłą sylwetką. Mahossier?

Maigret nie mógł przerwać ćwiczeń. Czekał stojąc o jakiś metr od kabiny 24. Czy opalająca się kobieta wyczuje w końcu jego obecność? Podciągnęła staniczek dwuczęściowego kostiumu, niewiele bardziej dyskretnego od bikini, i obróciła się na bok. Niewątpliwie zaskoczył ją widok nieznanego w kompletnym stroju. W tłumie plażowiczów tylko Maigret był w garniturze.

– Szuka pan czegoś? – odezwała się wreszcie.

Warstwa oliwy lub kremu pokrywała jej twarz. Była dość pulchna, miała chyba pogodne usposobienie.

– Pani Mahossier?

– Tak. Skąd pan to wie?

– Pokojówka dała mi numer państwa kabiny. Pragnąłbym porozmawiać z pani mężonkiem.

– Musi pan poczekać... Która godzina?

– Prawie wpół do pierwszej.

– Za kilka minut skończy ćwiczyć...

– To ten najwyższy, prawda?

– Tak. Trzeci z prawej... Nie ma ani grama tłuszczu, a mimo to gimnastykuje się systematycznie, ilekroć jesteśmy w La Baule.

Spoglądała na Maigreta z ciekawością, nie ośmielając się zadać mu bezpośredniego pytania.

– Przyjechał pan dziś rano?

– Tak.

– Samochodem?

– Samolotem.

– My także wrócimy samolotem, tutaj niepotrzebny nam wóz. Zatrzymał się pan w „Hermitage”?

– Nie zatrzymałem się w żadnym hotelu, wyjeżdżam dziś po południu.

Ćwiczenia skończyły się i wysoki chudzielec ruszył w stronę pomarańczowej kabiny. Zobaczył żonę rozmawiającą z Maigretem i zmarszczył brwi.

– Ten pan przyleciał dziś rano z Paryża, żeby się z tobą spotkać, i wraca po południu.

Mahossier nie wydawał się tym zachwycony.

– Pana godność?

- Maigret z Policji Kryminalnej.
- I właśnie ze mną chce pan mówić?
- Chciałbym istotnie otrzymać od pana odpowiedź na kilka pytań...

Wygląd Mahossiera zgadzał się z rysopisem człowieka, który po wyjściu z restauracji Pharamonda przypatrywał się Vivienowi, kiedy ten rozładowywał ciężarówkę. Później widziano go również, jak wchodził do zdemolowanej kamienicy, gdzie znalazł schronienie włóczęga.

- Prowadzi pan roboty malarskie, prawda?
- Tak jest...

Otoczenie, rozgwar plaży, okrzyki dziecięce i fakt, że interlokutor komisarza był w slipkach, przydawały tej rozmowie odrobinę komizmu.

- Od dawna?
- Od jakichś piętnastu lat.
- A przedtem?
- Pracowałem u pewnego przedsiębiorcy.
- Także na Montmartrze?

– Do czego prowadzą te pytania, komisarzu? Jestem na wakacjach. Jakim prawem zakłóca pan mój spokój?

Maigret pokazał mu zezwolenie na przesłuchanie świadka. Mahossier uważnie przeczytał tekst.

- Co to znaczy?
- Przed paroma dniami jadł pan kolację w pobliżu Hal. U Pharamonda...
Zerknął na żonę, jak gdyby spodziewał się, że dopomoże jego pamięci.

– Tamtego wieczoru zaprosiłam na kolację moją matkę. A że jej nie lubisz, postanowiłeś zjeść na mieście...

- Co pan potem robił?
- Przeszedłem się i wróciłem do domu...

Maigret dostrzegł lekki rumieniec na policzkach kobiety. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zmilczała.

- Rzeczywiście w pewnym momencie wrócił pan do domu...

I nie spuszczać uporczywego spojrzenia z Mahossiera, rzekł zniecierpliwiony:

- Jaki jest kaliber pańskiego pistoletu?
- Nie mam pistoletu.

– Ostrożnie, panie Mahossier. Przestrzegam pana przed kłamstwem, które może obrócić się przeciw panu. Jeśli nie odpowie pan szczerze, zażądaję od sędziego nakazu rewizji w pańskich warsztatach i w mieszkaniu na ulicy Turbigo.

Kobieta patrzyła na męża w osłupieniu. Mahossier natomiast wzrok miał twardy i zdawało się, że zaraz skoczy z pięściami na komisarza.

– Mam stary automat, chyba już zardzewiały, i nawet nie wiem, gdzie go podziałem...

– Kaliber trzydzieści dwa?

– Przypuszczalnie... Nie znam się na broni.

– Szkoda, że nie wie pan, gdzie jest ten pistolet, bo mógłby pan zlecić któremuś ze swoich pracowników, żeby mi go doręczył.

– Ale z czym się to wiąże? Może mi pan powiedzieć?

– Sprawa wygląda poważnie, panie Mahossier, chodzi o zabójstwo. Kiedy odnajdę pańską broń, będę wiedział w ciągu paru godzin, dzięki ekspertom od balistyki, czy jest pan, czy nie jest w to zabójstwo wplątany.

– Niech pan robi co chce. Nie będę już odpowiadał na te śmieszne pytania. Uścisnął rękę przechodzącemu grubasowi, który ulokował się o trzy kabiny dalej.

– Dwadzieścia lat temu zawarł pan znajomość z młodą dziewczyną, niejaką Niną Lassave, prawda? Później poznał pan przez nią Viviena...

– Włóczęgę spod Hal?

– Nie był wówczas włóczęgą, miał warsztat stolarski na ulicy Lepic...

– I ja powinienem o tym wiedzieć?

– Tak.

– Przykro mi, że pana rozczaruję: nie znam tych osób.

– Bulwar Rochechouart... Nic to panu nie mówi?

Po raz pierwszy prowadził dochodzenie na plaży. Żona Mahossiera uniosła się na łokciu i z nie ukrywaniem zainteresowaniem śledziła ich rozmowę.

– Znam bulwar Rochechouart jak każdy paryżanin, ma się rozumieć.

– Gdzie mieszkał pan w roku czterdziestym szóstym?

– Było to tak dawno... wtedy często zmieniałem adres. Przeważnie mieszkałem w małych hotelikach.

– Na Montmartrze?

– Rzeczywiście. Mój pracodawca miał przedsiębiorstwo w tej dzielnicy.

– Hotel Morvana?

– Nie pamiętam.

– Hotel Jonarda na placu des Abbesses?

– Niewykluczone.

– Latem czterdziestego szóstego stołował się pan w „La Bonne Fourchette”... ulica Dancourt? Stary Boutant jeszcze żyje i gotów pana rozpoznać, bo cieszy się doskonałą pamięcią.

– O niczym nie wiem.

– Nie zna pan tej restauracji?

– Raz czy dwa może i jadłem tam obiad albo kolację. Dużo ma pan jeszcze tych

pytań?

– Niewiele. Zwłaszcza że dostaję wymijające odpowiedzi. Może przynajmniej dowiem się, w którym roku pan się ożenił?

– W pięćdziesiątym piątym.

– Zerwał pan z Niną?

– Pan chyba zwariował, komisarzy.

– Czy już przypomniał pan sobie, co z tym pistoletem? Wciąż pan nie wie, gdzie go schował?

– Nie wiem nawet, czy mam go jeszcze.

– Kiedy go pan kupił?

– Nie kupiłem... Dostałem od jednego z moich robotników. Nie chciałem trzymać broni w domu, gdzie jest dwoje dzieci...

– Pracuje obecnie u pana?

– Tak.

– Nazwisko?

– Oscar Raison. Zastanie go pan na avenue Trudaine. To jeden z pierwszych, których zatrudniłem. Spodziewam się, że już o nic więcej pan nie zapyta.

– O nic więcej. Dziękuję za tyle dobrej woli. Proszę wybaczyć, że przeszkodziłem szanownej pani w opalaniu.

Nie odpowiedziała, ale obrzuciła męża pytającym spojrzeniem.

W bocznej ulicy Maigret zajął do włoskiej restauracyjki, zobaczył piec piekarski i to pobudziło jego wyobraźnię: nabrał ochoty na pizzę. Czekał, aż mu ją podadzą, zamówił porcję skorupiaków i całą butelkę muszkatelu, bo nie sprzedawano tu połówki.

Był poważny i spokojny. Zdawało mu się, że nie na próżno traci służbowy czas. Wypił kawę, potem taksówką udał się do Saint-Nazaire, gdzie, jak sądził, znajdował się posterunek Policji Kryminalnej. Zasięgnął informacji w merostwie, skąd odesłano go do Nantes. W dość ciasnym pomieszczeniu zastał trzech inspektorów.

Poznali go wszyscy trzej i byli zdziwieni tą wizytą.

– La Baule należy do waszego okręgu?

– Tak. Ale nieczęsto nas tam wzywają. Plażują tam rodziny z dziećmi...

– Chciałbym, żeby pewien człowiek, spędzający wakacje w La Baule, był pilnowany dniem i nocą. Czy to możliwe?

– Możliwe, oczywiście. Chociaż nie jest tu nas za dużo...

Maigret pokazał im zlecenie sądowe.

– Zrobi się, szefie...

Opisał Mahossiera i jego żonę, podał ich adres.

– Jeżeli ktoś z dwojga opuści La Baule, proszę o natychmiastowy telefon, w

razie czego do mnie do domu...

Zapisał numer jego telefonu.

– I chciałbym, rzecz jasna, wiedzieć, w jakim kierunku pojadą.

– Tak jest, panie komisarzu. Nie napije się pan z nami muszkatelu?

– Dopiero co piłem. Lekarz zaleca mi wstrzemięźliwość...

Pożegnał się i znów taksówką wrócił do La Baule. Na deptaku kilku mężczyzn, ubranych tak jak on po miejsku, spacerowało w zarzuconych na ramiona marynarkach. Wziął z nich przykład.

Z Orly pojechał wprost do domu; pani Maigret, która oczekiwała go na podeście schodów, nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Co by było, gdybyś przesiedział miesiąc nad morzem?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wystarczył ci jeden niecały dzień, a wracasz ze wspaniałą opalenizną. Przejrzyj się w lustrze...

Nie przesadzała. Twarz Maigreta była czerwona jak rak. Pospiesznie ściągał zapiaszczone buty, uległ bowiem dziecinnej zachciance i od krańca do krańca przemierzył plażę tuż przy białej pianie rozkołysanych łagodnie fal. Prawie dwie godziny przebywał w tym świecie kolorowym i hałaśliwym, uchylając się przed piłkami, którymi bawiły się dzieci.

– Jadłeś obiad?

– Przegryzłem coś w samolocie. Muszę zatelefonować do biura.

Połączono go z pokojem inspektorów. Ze zdziwieniem usłyszał głos Janvier.

– Jeszcze tam siedzisz?

– Napad rabunkowy na pocztę... było z tym dużo pracy. Ujęliśmy dwóch głównych sprawców, odzyskaliśmy pieniądze. Tylko trzeci, ten z obstawy, buja dotychczas na wolności... A u pana, szefie?

– Za parę dni będę wiedział, czy opłacił się mój wyjazd. A na razie... masz pod ręką dwóch inspektorów do inwigilacji? Potrzebni od dziś wieczór.

– Jakoś sobie poradzimy. Ale w naszej ekipie krucho z ludźmi.

– Zapisz... Avenue Trudaine koło liceum Rollin. Magazyn i warsztaty Louis Mahossiera, roboty malarskie... Nie mam pojęcia, co może się wydarzyć, będę jednak spokojniejszy, gdy weźmiemy pod obserwację teren... Punkt drugi: dom tegoż Mahossiera, ulica Turbigo. W mieszkaniu jest obecnie tylko stara kucharka...

– Rozumiem... A jeśli Mahossier pokaże się i tu, i tam?

– Trzeba uważnie kontrolować wszystkie jego ruchy i poczynania.

Maigret źle spał tej nocy; pocił się i wtedy twarz zaczynała go palić. W uszach wciąż miał szum morza, a w oczach całą pstrokaczną plażę.

Nazajutrz wstał wcześniej niż zwykle i taksówką pojechał na ulicę Turbigo. Był to jeden z odremontowanych domów w starej dzielnicy Marais, który przybrał znów wygląd bogatej siedziby mieszczańskiej.

– Przepraszam panią... ja do pana Mahossier...

– Nie zastał go pan... On i żona są w La Baule, gdzie mają willę...

– Wiem o tym, ale też wiem, że w mieszkaniu jest panna Berta, kucharka...

– Jak pan sobie życzy. Pierwsze piętro na prawo... Zresztą na prawo czy na lewo to wszystko jedno, bo oni zajmują całe piętro...

Windę zastępowały wygodne szerokie schody. Maigret zadzwonił i długo czekał przed politurowanymi drzwiami ze starego drewna. W końcu usłyszał wewnątrz czyjeś drobne kroki i drzwi się rozwarły.

– Państwo Mahossier są...

– Wiem, w La Baule. Przyszedłem, żeby zobaczyć się z panią.

– Ze mną?

– Mam przyjemność z panną Bertą, kucharką?

– Proszę wejść... Nie będzie pan tak stał na schodach.

Wprowadziła go do salonu; salon, obszerny, z trzema wysokimi oknami, umeblowany był odpowiednio do stylu kamienicy.

– Niech pan usiądzie. Sprzedaje pan odkurzacze?

– Nie. Jestem z Policji Kryminalnej.

Bez żenady zlustrowała go od stóp do głów. Należała bez wątpienia do kobiet odważnych, szczerze wypowiadających, co myślą.

– Czy aby nie pan komisarz Maigret?

– We własnej osobie.

– Zajmuje się pan tym kloszardem... zapomniałam, jak się nazywa... Nie mam już pamięci do nazwisk...

– Vivien.

– Właśnie. Cóż to za dziwny pomysł, żeby zabijać kloszarda, nie uważa pan!

Chyba że był z tych rzekomych włóczęgów, którzy chowają swoje skarby w materacach...

– Nie w tym przypadku. Wczoraj widziałem się w La Baule z pani chlebowdawcą.

– Ach tak?

– Znała go pani w jego kawalerskich czasach?

– To znaczy poznałam go, kiedy się zaręczył z panną Cassegrain. Służę tu od tamtej pory. Pan Cassegrain jest notariuszem, mieszka na avenue de Villiers. Żona często choruje. Trzymają pokojówkę, która się nią opiekuje i zajmuje kuchnią. To pan Cassegrain nalegał, żebym przeniosła się do jego córki po jej ślubie.

– Ile lat temu?

– Będzie z piętnaście. Z tą różnicą, że oni nie mają pokojówki, więc sama robię wszystko... No, nie całkiem wypada tak mówić, bo pani mi pomaga, a umie gotować nie gorzej ode mnie...

– Często gdzieś wychodzą?

– Rzadko. A jeśli już, to do teatru albo do kina. Przyjmują niewielu znajomych, zawsze tych samych.

– Żyją w zgodzie?

– Nie kłócą się o byle co, jeśli to chce pan wiedzieć.

– Myśli pani, że jeszcze się kochają?

Zbyła to milczeniem.

– Czy pan Mahossier ma romans z jakąś kobietą?

– Nie mam pojęcia. Mnie by tego nie powiedział.

– Zdarza mu się wychodzić wieczorem i wracać bardzo późno?

– Nigdy... Co prawda, owszem, w zeszłym tygodniu... Koło jedenastej, kiedy pani odwiozła matkę po kolacji... wpadł jak wichler, zajrzał do swojego pokoju i zaraz wybiegł z domu... Pani postanowiła na niego nie czekać i poszła spać. Pewnie nie słyszała, jak wrócił, bo nie robił najmniejszego hałasu... Ale ja wiem, że było już po trzeciej w nocy...

– Od dawna sypiają osobno?

– Od pierwszych miesięcy po ślubie. Pan wstaje bardzo wcześnie i jedzie na budowę. Wyrывało to panią ze snu, a ona lubi wylegiwać się do późnego ranka...

Widać było, że nie darzy sympatią pana Mahossier, o swojej pani natomiast mówiła z prawdziwym uwielbieniem.

– Ile miała lat, gdy wychodziła za mąż?

– Akurat miesiąc przed ślubem skończyła dwadzieścia...

– Nie wie pani, gdzie się poznali?

– Nie. Kiedy była panienką, stale gdzieś latała, teraz dziewczęta nie potrzebują przyzwoitki...

– Jest szczęśliwa?

Milczenie kucharki było i tym razem wymowne.

– Zawiodła się na małżeństwie?

– Moja panienska nie jest z tych, co to lamentują albo wpadają w melancholię.

Bierze życie jak idzie...

Maigret zobaczył na pianinie fotografię małżeńskiej pary; Louis Mahossier z wąsami, których już nie nosił, twarz młodej kobiety otaczały jasne, drobno skręcone loczki.

Berta pochwyciła spojrzenie komisarza i zapytała nagle:

– Co on zrobił?

– Dlaczego pani o to pyta? Niekoniecznie musiał coś zrobić.

– Nie byłby pan tutaj, gdyby on nie miał nic na sumieniu. Kiedy taki człowiek jak pan sam się trzyma...

– Zechce pani pokazać mi jego pokój?

– Niechby się dowiedział... byłby wściekły. Ale ja się tym nie przejmuję. Wcale się go nie boję.

Minęli jadalnię, potem korytarz.

– Tutaj jest pokój mojej pani – rzekła otwierając drzwi.

Pokój był wesoły, utrzymany w barwach perłowszarych z odrobiną błękitu. Pod stopami wyczuwało się puszystość białej wykładziny.

Pokój Mahossiera obok sypialni żony był oczywiście skromniejszy, lecz gustownie urządzone.

– Kto wybierał wszystkie te rzeczy, te meble?

– Pani. Uczyła się na kursach historii sztuki w Luwrze, a także w szkole sztuk dekoracyjnych.

– I to ona gra na pianinie?

– Tak. Tylko wtedy, kiedy jest sama.

W pokoju Mahossiera przeważały kolory beżowe i brązowe.

– Niech no mi pani powie, czy Mahossier ma pistolet?

– Tak. Widziałam go jakieś dwa tygodnie temu...

– Rewolwer z bębniem?

– Myśli pan o takim czymś jak cylinder, do którego wpycha się kule?

– Właśnie.

– Nie. To płaski rewolwer.

– Automatyczny?

– Sam pan zobaczy.

Zbliżyła się do szafki nocnej, wysunęła szufladkę. Na jej twarzy odbiło się zdumienie.

– Już go tu nie ma.

– Może zabrał go z sobą do La Baule?

– Na pewno nie. To ja pakowałam walizki.

– Mógł go gdzieś przełożyć?

Otworzyła dwie pozostałe szufladki; były tam klucze, scyzoryk, wizytówki członków różnych stowarzyszeń.

– Odkąd w tym domu pracuję, pistolet zawsze leżał w górnej szufladce.

– I widziała go pani przed dwoma tygodniami? W szufladzie nie było naboju?

– Było ich pełne pudełeczko. Ono też zniknęło. Przeszukała szafy ścienne, komodę, nawet łazienkę. Wtedy znów spojrzała na komisarza z twarzą poważną i

lekkobladła.

– Chyba zaczynam się domyślać, dlaczego pan tu przyszedł...

– Dziwi się pani?

– Trochę. Nie za bardzo. A to z powodu, który pana rozśmieszy. On nie cierpi zwierząt. W mieszkaniu nie chce trzymać ani psa, ani kota. Pani miała cockera, wszędzie jej towarzyszył i musiała się go pozbyć...

– Sądzę, że lepiej będzie, jeśli nie ruszy się pani z Paryża przez kilka dni. Może niezadługo będzie mi pani potrzebna.

– Zostaję tutaj.

I dodała po chwili, gdy wchodzili do salonu:

– Widział pan w La Baule moją panią?

– Tak.

– Założę się, że ciągle siedzi na słońcu.

– Naturalnie.

– Nad morzem opala się po całych dniach. Jako mała dziewczynka stale wyjeżdżała z rodzicami do La Baule.

– Państwo nie chcą mieć dzieci?

– Mnie się z tego nie zwierzają, ale myślę, że im na dzieciach nie zależy.

– Dziękuję, panno Berto. Oddała mi pani wielką przysługę...

– Zrobiłam co mogłam, żeby panu pomóc...

„I żeby wpakować chlebobawcę w niezłą kabałę” – dopowiedział sobie w duchu Maigret.

Taksówka zawiozła go na Quai des Orfèvres.

Torrence oznajmił szefowi, że telefonowano z Nantes i że w „Pins Parasols” nie dzieje się nic szczególnego. Pytano, czy nadal obserwować willę.

– Oddzwoncie, że tak.

– Rozstawiłeś ludzi tam, gdzie mówiłem? – spytał dyżurującego Janviera.

Do Janviera zawsze zwracał się per ty. Nie wszystkich swoich inspektorów traktował tak poufale; wyjątek stanowili między innymi Janvier i mały Lapointe, ostatnio przyjęty do brygady. Ale podczas gorączkowych akcji lub kiedy był roztargniony, nie zważał na formy grzecznościowe.

– Kogo wysłałeś na Turbigo? Dobrze się musiał zadekować, bo byłem tam i nikogo nie widziałem. Co prawda, na wprost domu jest bistro...

– Wysłałem Barona... Neveu jest na Montmartrze...

Maigret wszedł w korytarz wiodący do pokoi sędziów śledczych i zapukał do drzwi gabinetu Cassure'a.

– Macie coś nowego? – usłyszał przestępując próg.

– Tak, w pewnym sensie... Myślę nawet, że warto przygotować nakaz

zatrzymania.

– Niech pan mówi...

Siedząc na niewygodnym krześle Maigret opisał swoje peregrynacje w ciągu dwóch minionych dni.

– Nie jestem w pełni przekonany, że Mahossier zabił Viviena, uważam jednak, że zebraliśmy dostateczną ilość poszlak, by go gdzie indziej, a nie na plaży, i bardziej serio przesłuchać...

– I ja tak sądzę... Jak się pan do tego zabierze? Wyśle pan po niego dwóch ludzi czy też zleci pan tę robotę miejscowej żandarmerii?

– Wyślę po niego dwóch moich ludzi, jeżeli będę ich miał do dyspozycji. Pracujemy w bardzo ograniczonym składzie. Co za okazja dla bandziorów, gdyby się o tym dowiedzieli!

– Już podpisuję panu nakaz...

Wypełniał formularz tak dobrze znany komisarzowi.

– Imię?

– Louis.

– Mahossier... z h? Nie wiem, dlaczego miałoby się ochotę zastąpić to h przez r...

– Dziękuję, panie sędzio.

– Był pan na avenue Trudaine?

– Wybieram się tam przed południem...

Udał się na poszukiwanie Janviera.

– Koniecznie muszę mieć dwóch ludzi...

Nieszczęsny Janvier zaczynał już tracić głowę.

– Na długo ich pan potrzebuje?

– Chodzi o sprowadzenie kogoś z La Baule.

Janvier spojrział komisarzowi prosto w oczy i natychmiast się zrozumieli.

– Kapuję! Proszę wziąć Vérana i Loubeta...

Maigret wezwał do gabinetu obu inspektorów, udzielił im instrukcji i wręczył nakaz tymczasowego aresztowania.

– Za godzinę macie samolot... Ale wolałbym, żebyście wracali pociągiem.

– Założyć mu kajdanki?

– Jeżeli będzie próbował ucieczki, w przeciwnym razie to zbyteczne.

– Jedziemy, panie kierowco – zwrócił się do Torrence'a.

W ciągu ostatnich dni Torrence istotnie pełnił tylko rolę kierowcy.

– Avenue Trudaine... Naprzeciw liceum Rollin...

– Aresztuje go pan, szefie?

– Przyjdzie i na to pora, gdy go bardziej gruntownie przepytam niż tam na plaży...

Rozległe podwórze zawałone było drabinami; w pomieszczeniu przypominającym

garaż stały ogromne pojemniki z farbą. Na emaliowanej tabliczce widniał napis: „Biuro”. I Maigret poszedł w kierunku, który wskazywała strażka.

Biuro zajmowało jeden, ale dość duży pokój; mały człowieczek o zgrzytliwym wyrazie twarzy pochylał się nad stertą faktur.

– Komisarz Maigret...

– Czy to ze mną chce pan mówić?

– Pańskie nazwisko?

– Vannier... Gérard Vannier, nie rozumiem, dlaczego policja...

– Nie o pana tu chodzi.

– O kóregoś z naszych robotników? Wszyscy są zajęci na mieście... To ludzie odpowiedzialni, pracują tutaj od lat...

– To biurko na lewo należy do pańskiego szefa?

– Tak. Nieczęsto przy nim urzęduje, bo stale jeździ z budowy na budowę...

– Firma dobrze prosperuje?

– Nie narzekamy.

– Jest pan wspólnikiem?

– Niestety nie. Prowadzę księgowość.

– Kiedy powstało to przedsiębiorstwo?

– Tego nie wiem. Tyle wiem, że poprzedni właściciel splajtował w czterdziestym siódmym... Co prawda, większość czasu spędzał w knajpach, no i dawał się zdrowo okradać... Pan Mahossier, kiedy wziął interes w swoje ręce, zwolnił cały personel i przyjął nowy...

– A pan?...

– Początkowo wystarczał mu jeden księgowy na dwa wieczory w tygodniu. Potem interes zaczął się rozkręcać, więc zaangażował mnie na pełny etat w końcu czterdziestego ósmego roku.

– Dużo pracuje?

– Nic się tu bez niego nie odbywa. Nie zawsze ma czas wyjść na obiad.

– Jak odnosi się do swoich ludzi?

– Bardzo po koleżeńsku, ale pewnej granicy nie wolno im przekraczać i oni o tym wiedzą.

– Ilu zatrudnia robotników?

– Obecnie ośmiu, jeśli doliczyć praktykanta...

– Widział pan w tym biurze jakiś pistolet?

– Pistolet? A na co tu komu pistolet? Klienci płacą nam czekami i natychmiast można je zrealizować na rogu Trudaine.

– Pan pozwoli?

I ku zaskoczeniu księgowego Maigret podszedł do biurka Mahossiera i zaczął

wysuwać szuflady jedną po drugiej. Nie było w nich żadnej broni.

- Co właściwie pana tu sprowadza?
- Śledztwo, którym kieruję.
- Niech się tylko pan Mahossier o tym dowie...
- Wczoraj się z nim widziałem.
- Jeździł pan do La Baule?
- Tak, a najpóźniej jutro rano Mahossier będzie w Paryżu.
- Miał wrócić za trzy tygodnie, za miesiąc...
- Prosiłem, by zmienił zdanie...
- Nie protestował?

Gérard Vannier, do głębi wzburzony, nastroszył się jak kogucik.

- Chciałbym wiedzieć, co znaczy cała ta heca...
- Wkrótce się pan dowie.
- Do czego to podobne, żeby zaglądać do cudzych szuflad, żeby zadawać takie bzdurne pytania... I aż ściągać szefa z La Baule...

Maigret bez słowa opuścił rozżalonego urzędniczyne.

Rozdział 6

Ledwie znalazł się na Quai des Orfèvres, odezwał się telefon z La Baule. Dzwonił Véran, jeden z dwóch wysłanych tam przez Maigreta inspektorów.

– Jak poszło?

– Z początku było raczej kiepsko. Stawiał się, odmówił wyjazdu z nami do Paryża. Powoływał się na swoich wpływowych przyjaciół, groził skandalem.

– Co na to żona?

– Słuchała, była zdziwiona. Pozwoliłem mu gadać do woli przez kilka minut, potem wyjąłem z kieszeni kajdanki i powiedziałem, że jeśli nie pójdzie z nami dobrowolnie, to skujemy mu rączki. Krew mu uderzyła do głowy. „Ośmielicie się to zrobić? – Tak. – Ale dlaczego, na litość boską?” Zdaje mi się, że przede wszystkim był upokorzony; w końcu razem udaliśmy się na stację, żeby złapać wieczorny pociąg. Żona chciała także jechać, ale on się nie zgodził, zapewnił ją, że wróci po czterdziestu ośmiu godzinach. „Nie mogą mi nic zarzucić, rozumiesz? To ich czekają kłopoty...”

Rankiem następnego dnia Maigret usiadł przy swoim biurku, dokonał wyboru fajki, nie spiesząc się naładował ją tytoniem i skinął na Torrence'a, który z notesem w rękę zajął już miejsce przy drugim końcu stołu. Zawsze, kiedy było to możliwe, uczestniczył w przesłuchaniach Lapointe, jako najlepszy w Policji Kryminalnej stenograf. Ale i Torrence nieźle sobie z tym radził.

Maigret nacisnął guzik dzwonka i Véran wprowadził do gabinetu Mahossiera. Louis Mahossier miał rysy twarde, spojrzenie nieruchome.

– Proszę usiąść.

– Protestuję przeciw bezpodstawnemu aresztowaniu i skorzystam z prawa wytoczenia panu procesu bez względu na to, jak ważną jest pan figurą, panie Maigret.

Maigret ani drgnął.

– Zechce mi pan powiedzieć, panie Mahossier, gdzie jest pański pistolet?

– Jaki pistolet?

– Ten, który jeszcze przed kilkoma dniami leżał w górnej szufladzie nocnej szafki. Kaliber trzydzieści dwa, jeżeli się nie mylę.

– Nie znam się na broni i nie potrafię panu określić, jakiego kalibru jest rewolwer, który bardzo dawno temu oddano mi na przechowanie.

– Gdzie jest teraz?

– W tej samej szufladzie prawdopodobnie.

Mówił gniewnym głosem, a ilekroć spoglądał na Maigreta, oczy jego wyrażały nienawiść. Ale czy w tych oczach nie było też cienia lęku?

– Pistoletu nie ma już w tej szufladzie. Co pan z nim zrobił?

– Nie tylko ja mam dostęp do mieszkania.

– Chce pan powiedzieć, że mogła go zabrać panna Berta? Niechże pan nie żartuje... Donikąd to pana nie zawiedzie.

– Nie twierdzę, że zabrała go kucharka...

– Więc może pańska teściowa? Była u was tego wieczoru, kiedy jadł pan kolację u Pharamonda i wrócił do domu o trzeciej nad ranem...

– Jeszcze nigdy nie wracałem o trzeciej w nocy...

– Chce pan, żebym go skonfrontował ze świadkiem, który pana widział i z pewnością pana rozpozna?

Torrence notował tak szybko, jak potrafił, czoło zalewał mu pot.

– Mam tu w zasięgu ręki świadka, który widział, jak tuż przed trzecią wchodził pan w zaułek Vieux-Four; mamy też innego świadka, który słyszał, jak wraca pan do siebie parę minut po trzeciej.

– Czy przypadkiem nie moja żona? – rzucił z ironią.

– Gdyby to była ona, nie musiałaby świadczyć na pana niekorzyść.

Maigret w przeciwieństwie do swego rozmówcy był niezwykle spokojny.

– Więc to ta stara megiera Berta. Przez pewien czas wychowywała moją żonę i dlatego o wszystko, co jej dotyczy, jest tak zazdrosna, że nie może mnie ścierpieć.

– Gdzie poznał pan Marcela Vivien?

– Nie wiem, o kim pan mówi.

– Nie czytuje pan gazet?

– Nie zwracam uwagi na kronikę wypadków.

– Wiadomo panu jednak, że go zamordowano? Leżał w łóżku, spał, kiedy dostał prosto w pierś trzy kule.

– Jaki to ma związek ze mną?

– Mogłoby to mieć związek z panem. Znakomicie by było, gdyby odnalazł pan swój pistolet.

– Musiałbym najpierw wiedzieć, kto go wziął czy przełożył na inne miejsce...

Ten człowiek gotów był zaprzeczać wszelkiej oczywistości. Zapalił papierosa, ręka mu drżała. Można by sądzić, że ze złości.

– Przypuszczam zatem, że nigdy nie był pan w zaułku Vieux-Four?

- Nie wiem nawet, gdzie to jest.
- Maigret gwałtownie zmienił temat, zbijając z tropu Mahossiera:
- Co stało się z Niną Lassave?
- Powinienem ją znać? Nazwisko nic mi nie mówi.
- W czterdziestym piątym i czterdziestym szóstym zajmował pan pokój umeblowany na Montmartrze, dwa kroki od bulwaru Rochechouart.
- Mieszkałem w tej dzielnicy, ale nie pamiętam, w którym roku.
- A ona mieszkała na bulwarze Rochechouart...
- Możliwe. Mieszkało tam tysiące ludzi. Czy i o nich także muszę pamiętać?
- Przypuszczalnie poznał pan wówczas ją i Marcela Vivien, który był jej kochankiem. Teraz proszę się zastanowić nad odpowiedzią: czy pan również był kochankiem Niny Lassave?
- Nie potrzebuję się zastanawiać. Odpowiadam: nie! Kiedy byłem nieżonaty, chodziłem z wieloma dziewczynami, ale nie z nią i nigdy nie spotkałem żadnego Marcela Vivien.
- Reasumując: nie ma pan nic wspólnego z tą sprawą?
- Nic a nic.
- Stawał się coraz bardziej impertynencki, a jednocześnie coraz bardziej zdenerwowany, nie mógł opanować drżenia palców.
- Żeby dać panu czas do namysłu, kieruję pana na razie do aresztu...
- Nie ma pan prawa.
- Zapomina pan o nakazie, który podpisał sędzia śledczy.
- Jeżeli zamierza pan znowu mnie przesłuchiwać, to żądam obecności mojego adwokata.
- Mogę odmówić. Adwokat może interweniować u sędziego. Ale nie chcę pana pozbawiać żadnych szans. Nazwisko adwokata?
- Mécenas Louiseau. Bulwar Beaumarchais, trzydzieści osiem.
- Zawiadomię go we właściwym czasie.
- Maigret podniósł się ociężale i stanął przed oknem otwartym na rozpaczliwie błękitne niebo. Wszyscy prócz wczasowiczów byli spragnieni deszczu, któremu wcale się nie spieszyło; temperatura bez przerwy rosła.
- Inspektor Véran poprowadził Mahossiera do celi.
- Niech go diabli... – mruczał półgłosem Mahossier, mając zapewne na myśli komisarza.
- A Maigret rzekł do Torrence'a:
- Co za twarde!... Przepisz notatki na maszynie, następnym razem damy mu do podpisania protokół zeznań.
- Naprawdę myśli pan, że znał Ninę Lassave?

– Niewykluczone. Wypuściłem balon próbny. Mam wrażenie, że zareagował, bo nie spodziewał się, że o niej wspomnę...

Zmienił fajkę, włożył kapelusz.

– Gdyby mnie ktoś pilnie potrzebował, jestem w „Parisien libéré”...

Torrence spojrzał na niego ze zdziwieniem, ale się nie odezwał. Maigret wstąpił do Brasserie Dauphine na małe piwo, potem przywołał taksówkę.

– „Parisien libéré”.

Pamiętał, że to jeden z pierwszych dzienników, jakie ukazały się po Wyzwoleniu. W 1946 roku Maigret nie był w Paryżu. Nie przypadł do gustu dyrektorowi Policji Kryminalnej, który parę miesięcy później przeszedł na emeryturę. Maigret delegowano do Luçon, a że niewiele tam było do roboty, dla zabicia czasu grał w bilard nieraz przez cały dzień. Prawie rok przemęczył się w Luçon; pani Maigret także nie mogła przyzwyczać się do życia w Wandei.

Na szczęście nowy dyrektor ściągnął go z powrotem do Paryża. Wtedy jeszcze nie był naczelnym komisarzem i nie kierował brygadą kryminalną.

Pobyt w Luçon pozostał niby czarna dziura w jego karierze i wspomnieniach.

– Chciałbym mówić z redaktorem naczelnym.

– Pana godność?

– Komisarz Maigret.

Redaktor naczelny, bardzo młody człowiek, nie znany Maigretowi, wyszedł z gabinetu, by go powitać.

– Czemu mam przypisać te zaszczytne odwiedziny?

– Mojej pracy – wyznał Maigret.

– W czym możemy być pomocni?

– Spodziewam się, że przechowujecie stare egzemplarze waszego dziennika?

– Naturalnie. Ułożone według roczników...

– Chodzi mi o lata czterdzieści pięć i czterdzieści sześć...

– Proszę za mną...

Zapuscili się w labirynt korytarzy. W ciemnym pomieszczeniu ustawione były na półkach wielkie segregatory w czarnej oprawie.

– Życzy pan sobie kogoś do pomocy?

– To chyba niekonieczne. Zwłaszcza że szukanie może potrwać dłużej...

W pewnym momencie dochodzenia przyszedł mu do głowy ten pomysł. Mógł go zrealizować dużo wcześniej, już na początku śledztwa, ale szybko o nim zapomniał.

– Mogę zamówić dla pana piwo w bistro naprzeciw... oni są do tego przyzwyczajeni...

– Dziękuję, dopiero co wypięłem szklaneczkę...

Gdy został sam, zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli i sięgnął po rocznik

1945.

W ciągu godziny przekartkował wszystkie numery. Czytał oczywiście tylko tytuły. Nigdzie nie napotkał nazwiska Marcela Vivien, Niny Lassave czy Louis Mahossiera.

Odstawił na miejsce segregator i z bolącą głową zaatakował rocznik 1946. Redaktor naczelny po raz drugi zajrzał do pokoju.

– Jeszcze się panu nie chce pić?

– Teraz chętnie bym się napił.

Powietrze było niebieskie od fajkowego dymu, przesiąknięte zapachem starych papierów i farby drukarskiej.

Niektóre tytuły budziły zdziwienie Maigreta: o sprawach wywołujących ongi tyle hałasu, nikt już dziś nie pamiętał.

Styczeń... luty... marzec... kwiecień...

Doszedł do sierpnia. I oto wreszcie ukazał się jego oczom tytuł:

„Młoda kobieta uduszona na bulwarze Rochechouart”.

Wiadomość nie zasługiwała widocznie na większą uwagę, bo podano ją zwykłą czcionką na jednej z końcowych stron.

„22-letnia Nina Lassave została uduszona w swoim mieszkaniu na bulwarze Rochechouart. Znalaziono ją leżącą nago na łóżku. Ani w pokoju, ani w całym mieszkaniu nie stwierdzono nieładu. Zeznania konsjerżki nie wnoszą nic, co mogłoby pomóc w śledztwie.

Nina Lassave przez wiele lat pracowała jako ekspedientka w sklepie bieliźniarskim na ulicy Lepic, chlebodawczyni była z niej zadowolona.

Pod koniec roku 1945 nagle przestała pracować. W jej życiu pojawił się mężczyzna, który jednak rzadko ją odwiedzał. Co zdarzyło się wieczorem w dniu jej śmierci? Trudno to będzie ustalić w śledztwie. Konsjerżka, osoba w podeszłym wieku, nie kontroluje, kto wchodzi lub wychodzi z domu. Dochodzenie prowadzi komisarz Piedboeuf”.

Nagłówek w kolejnym numerze:

„Bez zmian w sprawie morderstwa na bulwarze Rochechouart”.

Ledwie parę linijek zapowiadających poszukiwanie nowych faktów z życia młodej kobiety. W raporcie, upstrzonym fachowymi terminami, lekarz sądowy stwierdza, że przyczyną zgonu było uduszenie. Denatka nie odniosła żadnych innych obrażeń.

Ponownie przesłuchiwana dozorczyńni ujawniła, że jakiś młody jeszcze mężczyzna odprowadzał nieraz dziewczynę i wchodził do jej mieszkania, ale nigdy nie zostawał na noc.

Konsjerżka widziała go kilkakrotnie. Mimo to nie jest pewna, czy by go poznała.

Od mniej więcej dwóch miesięcy inny mężczyzna, łatwiejszy do rozpoznania, składał denatce wizyty po południu i, przy lepszym świetle, konsjerżka mogła mu się dobrze przypatrzeć.

Był to człowiek bardzo wysoki, bardzo szczupły, z ciemnymi oczyma. Wbiegał na górę przeskakując po parę stopni i wychodził po godzinie.

Dopiero trzy dni później „Parisien libéré” podawał:

„Komisarz Piedboeuf przesłuchuje podejrzanego.

Przesłuchania prowadzone przez Policję Kryminalną otacza ścisła tajemnica. Zidentyfikowano istotnie wysokiego chudego mężczyznę, który bywał u Niny Lassave na bulwarze Rochechouart. Jest to niejaki Louis M., malarz pokojowy, mieszkający w jednym z pobliskich hotelików.

Nie zaprzecza on, że był kochankiem młodej kobiety, ale utrzymuje, że nie widział się z nią w dniu jej śmierci. Konsjerżka natomiast zapewnia, że minęła go na schodach, kiedy szedł do Niny Lassave tegoż dnia około czwartej po południu.

Z braku dowodów Louisa M. zwolniono z aresztu, ale nadal pozostaje on w kręgu osób podejrzewanych przez policję.

Co do Marcela V., stolarza, który od ponad pół roku był kochankiem Niny Lassave, przedstawił on dowody, że w momencie popełnienia zbrodni znajdował się w kafejce na bulwarze de la Chapelle”.

Maigret zapisywał to wszystko w swoim starym czarnym notatniku. Kelner z bistra naprzeciwko przyniósł mu szklanicę musującego piwa. Komisarz tak się wciągnął w rewelacje dziennika, że przestał odczuwać ból głowy.

Próbował dotrzeć do gabinetu naczelnego, zagubił się w krętych korytarzach i musiał pytać o drogę.

– Czy nie ma pan nic przeciw temu, żebym zrobił odbitki zdjęciowe niektórych artykułów z egzemplarzy archiwalnych?

– Oczywiście.

– Pozwoli pan, że zadzwonię?

Telefon odebrał Moers.

– Jest tam Mestral?... Przyślijcie go do „Parisien libéré”. W redakcji niech pyta o archiwum... Będę tu czekał...

Wrócił do mrocznego pomieszczenia i zaczął przerzucać późniejsze numery. Coraz rzadziej pisano w nich o Ninie Lassave i w dodatku ograniczano się do paru wierszy, bo cała Francja pasjonowała się wówczas głośnym procesem politycznym.

„Alibi ma również, jak się zdaje, Louis M., którego podobno widziała konsjerżka, jak wchodzi do mieszkania ofiary koło czwartej po południu. Komisarz Piedboeuf i jego inspektorzy kontynuują śledztwo, ale jest rzeczą mało prawdopodobną, by odkryto coś nowego”.

Wyglądało to na pogrzebanie sprawy bulwaru Rochechouart. Dziennik nie zamieszczał fotografii Mahossiera ani Marcela Vivien.

Mahossier był potem kilkakrotnie przesłuchiwany na Quai des Orfèvres w gabinecie żyjącego jeszcze wówczas sędziego Comélieu, ale w końcu śledztwo przeciw niemu umorzono.

Po upływie pół godziny zjawił się Mestral z całą baterią aparatów i fleszów.

– Dużo będzie tych stron?

– Tylko sześć tekstów i to dosyć krótkich.

Mestral przystąpił do pracy, Maigret wskazywał mu kolejne artykuły.

– Da się je wywołać w ciągu tego popołudnia?

– Powiedzmy około czwartej, jeśli pozwoli mi pan zjeść obiad.

Maigret wstąpił do redaktora naczelnego, żeby mu podziękować.

– Znalazł pan to, czego szukał?

– Owszem.

– Chyba nic jeszcze nie można podać?

– Obiecuję, że pan pierwszy otrzyma tę informację, kiedy tylko nadejdzie odpowiedni moment.

– Będę wdzięczny. Do szybkiego zobaczenia, mam nadzieję...

Było parę minut po dwunastej. Z ulicy d'Enghien na bulwar Richard-Lenoir szło się najwyżej pół godziny. Maigret był w dobrym humorze, patrzył na przechodniów, na wystawy sklepowe i na autokary; kilka z nich zatrzymało się koło Bastylli, którą zagraniczni goście fotografowali podobnie jak Łuk Triumfalny, Sacré-Coeur czy wieżę Eiffla. Większość turystów robiła wrażenie zmęczonych, ale nikt nie chciał pominąć żadnej z obiecanych im osobliwości.

Maigret wszedł do swego mieszkania podśpiewując.

– Zdaje mi się, że sprawa ruszyła – rzekła pani Maigret podając mu przystawki.

– Myślę, że odwalilem kawał niezłej roboty. Nie wiem jeszcze, co z tego wyniknie, nie wątpię jednak, że coś wyniknie. Szkoda, że ten człowiek nie może już nic powiedzieć.

– Kto taki?

– Marcel Vivien. W rzeczy samej zdobyłem nową informację i nie ma powodu jej ukrywać: Nina Lassave została zamordowana w sierpniu czterdziestego szóstego.

– Zastrzelono ją?

– Uduszono.

– Mógłbyś jej długo szukać.

– Tak. Przesłuchałem Mahossiera... jest coraz bardziej nieustępliwy.

Jadł z wielkim apetytem. Udziec barani był należycie przyrządzony; przy kości, tak jak trzeba, perliły się kropelki krwi.

– Znakomity – westchnął nakładając sobie drugą porcję.
– Myślisz, że szybko to zakończysz?
– Chwilowo nie mogę nic powiedzieć na ten temat, ale mamy już za sobą spory szmat drogi. Zabawne, że dopiero dziś rano w archiwum „Parisien libéré” odnalazłem coś, co powinno być bardziej szczegółowo udokumentowane w aktach Policji Kryminalnej. A nie pomyślałem o tym wcześniej, dlatego że w tamtym okresie byliśmy w Luçon.

– Nigdy w życiu tak się nie nudziłam jak w Luçon.

– No a ja!?

– Chcesz brzoskwinie? Są dojrzałe i soczyste...

– Nie odmówię...

Był w zgodzie z całym światem i z samym sobą.

Tym razem pojechał na Quai des Orfèvres taksówką.

Przez okna, szeroko rozwarłe jak w dniu poprzednie, wpadały do gabinetu podmuchy odrobinę świeższego powietrza.

– Torrence!...

– Tak, szefie.

– Przepisałeś zeznania?

– Jeszcze przed południem.

– Daj mi, z łaski swojej, jedną kopię...

I, położywszy protokół przed sobą na biurku, ciągnął dalej:

– Pójdiesz do Archiwum. W aktach z czterdziestego szóstego roku musi być dossier zamordowanej Niny Lassave, bulwar Rochechouart.

– Ja także miałem wrażenie, że obilo mi się o uszy to nazwisko... Teraz sobie przypominam... Sprawą zajmował się komisarz Piedboeuf.

– Właśnie. Chcę jak najszybciej mieć te akta.

Wolno, słowo po słowie, robiąc przerwy, by zastanowić się lub zapalić wygasłą fajkę, Maigret odczytywał protokół z rannego przesłuchania: swoje pytania i odpowiedzi Mahossiera.

Każde zdanie miało tu znaczenie.

Odpowiedzi Mahossiera wydawały się mniej uporządkowane teraz, gdy widziało się je na papierze.

Maigret skończył czytać i siedział nieruchomo z na pół zamkniętymi oczami. Można by sądzić, że drzemie. Starał się wywołać w pamięci najdrobniejsze szczegóły śledztwa. Wszystkie fakty od początku do końca.

Nie spieszył się z konkluzją. Nagle zdecydował się zatelefonować do Ascana.

– Niestety, panie komisarzu, moi chłopcy na nic jeszcze nie wpadli...

– Nie dlatego dzwonię. Chciałbym, aby odszukano, o ile to możliwe, tych dwoje

włóczęgów, których u was przesłuchiwałem. Jeśli się to uda, proszę uprzejmie doprowadzić ich do mnie...

– Nabawi się pan pcheł...

– Nie po raz pierwszy... Jedno więcej ryzyko zawodowe.

– W naszej dzielnicy jesteśmy dobrze obsłużeni... O której chce pan ich mieć u siebie?

– Około czwartej, dobrze?

– Spróbujemy... Mam pod ręką odpowiednich ludzi...

Maigret poprosił telefonistkę z centrali o połączenie z mecenasem Loiseau z bulwaru Beaumarchais.

Odpowiedziała niebawem, że mecenasa nie ma w biurze, powinien być w Pałacu Sprawiedliwości.

– Niech pani postara się go tam złapać...

Starania trwały prawie kwadrans.

– Mecenas Loiseau przy aparacie.

– Tu komisarz Maigret... Otóż, panie mecenasie, chodzi o rzecz następującą... W związku z popełnionym ostatnio morderstwem zatrzymaliśmy w areszcie jednego z pańskich klientów, Louis Mahossiera. Dzisiaj rano usiłowałem skłonić go do udzielenia odpowiedzi na kilka pytań... praktycznie biorąc bez rezultatu. Domaga się pańskiej obecności, a ja nie mam co do tego żadnych zastrzeżeń... Czy mógłby pan być w moim biurze około czwartej?

– Wykluczone, o trzeciej bronię w sądzie... Natomiast jeśli dogadza panu piąta...

– Zgoda. O piątej.

Ledwie odłożył słuchawkę, wszedł Torrence z dość szczupłym dossier sprawy Niny Lassave z 1946 roku. Maigret zrzucił marynarkę, zapalił kolejną fajkę i zasiadł przed teczką z dokumentami.

Zaczynały się od zeznań złożonych w dzielnicowym komisariacie przez dozorczynię, która o drugiej po południu zapukała do mieszkania lokatorki, ponieważ nie widziała jej wychodzącej, chociaż dziewczyna tego dnia wcześniej wróciła do domu. Drzwi były lekko uchylone i konsjerżka weszła do środka.

„Nie zauważyłam żadnego bałaganu. Szuflady nie były wypatroszone. W sypialni też wszystko było w porządku, a ta biedaczka leżała na łóżku, całkiem naga, z wywalonym językiem... Oczywiście miała puste, patrzyła w sufit...”

Potem następował raport komisarza policji, niejakiego Maillefera, który razem z policjantem Patou udał się na miejsce zbrodni. Potwierdził stan ofiary, zgodny z opisem dozorczyń. Części garderoby, między innymi sukienka w drukowany wzorek, były starannie poukładane na krześle obok łóżka.

„Motywem zbrodni nie wydaje się rabunek. Co więcej, ofiara przypuszczalnie znała zabójcę, bo będąc nago nie starała się przykryć i pozwoliła mu się zbliżyć...”

Komisarz Maillefer dzwonił z mieszkania Niny Lassave do Policji Kryminalnej. Komisarz Piedboeuf powiedział mu, że zaraz tam przyjedzie, zlecił, by niczego nie dotykano i powiadomiono telefonicznie Prokuraturę.

Jeśli Maigreta nie zawodziła pamięć, to Piedboeuf musiał mieć wtedy lat pięćdziesiąt pięć. Znał swój zawód i nie dawał się wywodzić w pole. Odznaczał się nadmierną szorstkością i łatwo się niecierpliwił.

Pomagali mu dwaj inspektorzy; jeden z nich pracował obecnie w głównym urzędzie informacyjnym.

Do nieco przydługiego raportu Piedboeufa dołączono plan mieszkania.

„Wszystkie sprzęty w pokojach są na swoim miejscu, w damskiej torebce na nocnym stoliku znalazłem trzysta franków...”

Zdawał też sprawozdanie z rozprawy prokuratorskiej, stanowiącej jak zwykle czystą formalność.

Dwa meldunki oraz parę zdjęć ciała denatki uzupełniały raport komisarza. Pierwszy pochodził od Moersa. Jego ludzie, jak pisał, na próżno szukali odcisków palców: wszystkie należały do ofiary, a te na gałce drzwi do konsjerżki.

Maigret robił notatki.

Kolejny raport sygnował człowiek, z którym Maigret długi czas współpracował i który już, niestety, nie żył: doktor Paul, lekarz sądowy, ekspert gastronomiczny.

W bardziej naukowych terminach doktor Paul stwierdzał, że przyczyną śmierci było uduszenie. Na szyi dziewczyny pozostały ślady palców mordercy. Zapewne miał on wyjątkowo silne ręce.

Przeypytywano lokatorów domu. Niewielu ich było. Nikt nic nie słyszał. Nikt nie widział na schodach żadnej podejrzanej osoby.

– „Nina Lassave często przyjmowała gości?”

– Nie.

– Kogoś jednak przyjmowała dość często?”

– Dwóch mężczyzn.

– Przychodzili razem?”

– Nie. Osobno. Ten wysoki raczej w środku popołudnia. Ten drugi wieczorami i wychodził razem z nią. Nie wiem, dokąd szli, ale któregoś dnia, to znaczy wieczora, zauważyłam ich na tarasie «Cyrano»...

– Który z tych dwóch zaczął tu bywać wcześniej?”

– Ten, co wieczorem... Tamten chyba od dwóch miesięcy...

– Żadnego z nich nie spotkała pani na schodach w dniu zabójstwa?”

– Szczerze mówiąc, aż do szóstej wieczór nie wytknęłam nosa z domu”.

Pozostali mieszkańcy kamienicy wiedzieli jeszcze mniej. Urzędnik banku na Wielkich Bulwarach, kawaler w średnim wieku, wychodził do pracy o ósmej rano, a wracał wieczorem koło dziewiątej.

„W ogóle nie wiedziałem o istnieniu tej dziewczyny, nie mówiąc już o jej dwóch przygodnych amantach”...

Mahossiera odnaleziono dzięki zeznaniom konsjerżki. Pewnego popołudnia zobaczyła, jak zajeżdża przed dom ciężarówką z żółtym napisem: „Lesage i Gélot, usługi malarskie, bulwar Batignolles”.

Raporty, raporty. Najbliższe pytanie zadane świadkowi stawało się przedmiotem stereotypowego sprawozdania. Czy Maigret mógł pohamować uśmiech odczytując taki na przykład stary dokument?

„Na rozkaz komisarza Piedboeuf udałem się do przedsiębiorstwa robót malarskich Lesage i Gélot, bulwar Batignolles, numer 25. Mogłem mówić z panem Gélot pod nieobecność pana Lesage. Zapytałem go, ilu zatrudnia robotników, odpowiedział, że teraz jest martwy sezon, więc tylko czterech. Podał mi ich nazwiska. Zapytałem, w jakim są wieku. Trzech na czterech ma ponad czterdzieści lat... jeden nawet sześćdziesiąt. Tylko niejaki Louis Mahossier ma lat dwadzieścia sześć. Musiałem czekać więcej niż pół godziny, bo on pojechał z materiałami na budowę. Kieruje ciężarówką opisaną przez konsjerżkę z bulwaru Rochechouart. Mahossier naskoczył na mnie. Zapytał, jakim prawem go przepytuję, i wypierał się znajomości z Niną Lassave. Zabrałem go z sobą na bulwar Rochechouart i konsjerżka zaraz go poznała. To właśnie jego widziała na schodach przedwczoraj mniej więcej o tej porze, kiedy zabito młodą kobietę... Wobec tego powiedziałem, że ma iść ze mną na Quai des Orfèvres i tam oddałem go w ręce komisarza Piedboeuf”.

Maigret otarł pot z twarzy.

Czterokrotnie przesłuchiwany Mahossier zeznawał ciągle to samo. Utrzymywał, że w czasie, kiedy popełniono zbrodnię, odwoził ciężarówką pojemniki z farbą na ulicę de Courcelles.

Potwierdzili to robotnicy, którzy je od niego przejmowali, nie potrafili jednak określić ściśle godziny.

Sam sędzia śledczy Comélieu zechciał mu zadać szereg pytań.

Zeznawali także Marcel Vivien, kelner i właściciel kafejki na bulwarze de la Chapelle.

Vivien był bardzo przygnębiony. Zdawało się, że śmierć kochanki pozbawiła go całej energii. Nie wysunięto przeciw niemu żadnych konkretnych zarzutów i wrócił do swego hoteliku na placu des Abbesses.

Mahossier znacznie dłużej skupiał na sobie uwagę organów śledczych, ale w końcu ze względu na brak wyraźnych poszlak zdecydowano się dać mu spokój.

Na dossier nie widniała adnotacja, że odłożono je ad acta, policja bowiem nie klasyfikuje w ten sposób spraw nie rozstrzygniętych – w gruncie rzeczy jednak nie ma to znaczenia.

– Torrence!... Za piętnaście minut sprowadzisz mi z aresztu Mahossiera.

Miał więc trochę czasu na małe piwo w Brasserie Dauphine. Jeśli mecenas Loiseau okaże się równie twardy jak jego klient, przesłuchanie będzie nad wyraz trudne.

Kiedy wrócił do gabinetu, Mahossier siedział już na krześle przed biurkiem, a inspektor Torrence pochylał się nad swoim blokiem do stenografowania.

– Musimy poczekać na mecenasa Loiseau...

Mahossier nie pokazał po sobie, czy te słowa dotarły do jego świadomości. Maigret od niechcienia przekartkował dossier, utrwalając w pamięci niektóre szczegóły.

Mecenas Loiseau, korzystając z drzwi łączących Policję Kryminalną z Pałacem Sprawiedliwości, przyszedł w todzie.

– Wybaczcie, panowie, opóźniono moją sprawę o cały kwadrans.

– Proszę, niech pan siada. A zatem mogę już przystąpić do pytań... mam ich kilka. Dotychczas na wszystkie dostawałem odpowiedź przeczącą. Wie pan, o co oskarżony jest pana klient?

– Oskarżony! Za daleko się pan posuwał! Zdaje mi się, że nawet jeszcze nie rozpoczęto śledztwa.

– Wobec tego założmy, że przypisuje mu się zbrodnię popełnioną na osobie Marcela Vivien, kloszarda, w domu przeznaczonym do rozbiórki w zaułku Vieux-Four.

Maigret zwrócił się do Mahossiera:

– Najpierw ustalę pańską obecność tamtego wieczoru pod Halami.

– Ma pan świadków godnych zaufania?

– Sam pan oceni...

Na znak Maigreta Torrence wyszedł, by wprowadzić tak zwanego Toto. Ów Toto, którego inspektor z jedyńki przywiózł wraz z grubą Naną na Quai des Orfèvres, nie spieszył się ani trochę i jako człowiek obyty z policją przypatrywał się swobodnie każdemu z obecnych. Gdy rzucił okiem na Mahossiera, twarz mu się rozjaśniła.

– A tego faceta to ja znam... Jak leci, koleś? Spodziewam się, że nie wpadłeś w tarapaty.

– Gdzie i kiedy świadek go spotkał? – zapytał Maigret.

– Przy Halach, do licha. Noc w noc tam jestem.

– Proszę określić dokładnie, gdzie świadek wtedy stał?

– Jakieś dziesięć metrów od Pharamonda... Patrzyłem na tych, co wyładowywali

ciężarówkę... był z nimi taki jeden kumpel... po prawdzie żaden kumpel, bo się z nikim nie zadawał... Nazywał się Vivien. A ja czekałem w kolejce, żeby się załapać do drugiej ciężarówki...

– Co było potem?

– Potem otworzyły się drzwi Pharamonda i ten pan wyszedł z restauracji.

Przystanął i też patrzył na tragarzy... No to przy okazji, rozumie się, spytałem, czy nie dałby mi na kieliszeczek. A on zamiast jednego franka dał mi pięć, żebym miał prawo do całej flachy...

– Czy przedtem widywał go świadek koło Hal?

– Nigdy.

– Często tam świadek bywa?

– Co wieczór od piętnastu lat...

– Jestem gotów zezwolić panu, mecenasie, na przepytanie świadka.

– Którego dnia zdarzyło się to, o czym świadek mówi?

– Myśli pan, że zaglądam do kalendarza!... Tak czy owak było to tej nocy, kiedy sprzątnięto Viviena...

– Świadek jest tego pewny?

– Tak.

– Świadek nie był pijany?

– O trzeciej w nocy tak, faktycznie, ale nie o dziesiątej wieczorem.

– I świadek jest pewny, że go teraz poznaje?

– On mnie także poznaje, widzę to po jego oczach...

Maigret zwrócił się do Mahossiera:

– To prawda?

– Nigdy nie widziałem tego wyrzutka.

– Wyrzutka... wyrzutka...

Torrence wyprowadził kloszarda i wprowadził grubą Nanę. Nie zdążyła się jeszcze dobrze zaprawić, ale już chwiała się na obrzmiałych nogach; palce jej rąk były podobne do serdelków.

Siadła, rozejrzała się jak Toto dookoła, i prawą ręką wskazała Mahossiera.

– To on – powiedziała swoim wiecznie zakatarzonym głosem.

– Kogo świadek ma na myśli?

– Tego, który wyszedł koło dziesiątej wieczorem z restauracji, gdzie nadziani goście jedzą flaki...

– Świadek wie, jak się nazywa ta restauracja?

– U Pharamonda.

– Świadek ma całkowitą pewność, że to ten sam człowiek?

– Całkowitą, a jakże. Widziałam nawet, jak Toto z nim gadał, a potem mi

powiedział, że dostał od niego pięciofrankówkę, i Toto nawet mi fundnął szklanę wina.

– Poznaje pan tę kobietę, Mahossier?

– Wcale nie poznaję. Nigdy jej nie widziałem i ona nie mogła mnie widzieć koło

Hal.

Maigret zwrócił się znów do grubej Nany:

– Świadek widziała go ponownie?

– Tej samej nocy przed trzecią. Siedziałam na progu, tam, gdzie z ulicy Grande-Truanderie wchodzi się w zaułek Vieux-Four. Usłyszałam kroki i ten wysoki chudy facet przeszedł tuż obok. Łatwo go było poznać, bo akurat latarnia świeciła się na rogu zaułka.

– Świadek wie, dokąd się ten człowiek skierował?

– Do domu, który już dziesięć lat czeka na rozbiórkę i lada dzień się zawali.

– Mahossier, poznaje pan tę kobietę?

– Nigdy jej nie widziałem.

Mecenas Loiseau westchnął.

– Jeżeli wszyscy pana świadkowie są tego pokroju...

– Możesz ją wyprowadzić na korytarz, Torrence...

– Wprowadzić trzeciego świadka?

– Za chwilę... Kiedy pytałem pana po raz pierwszy, zaprzeczył pan, jakoby jadł kolację u Pharamonda... Podtrzymuje pan to zeznanie?...

– Podtrzymuję...

– Więc gdzie jadł pan kolację? Nie w domu, jak pan sam stwierdził, bo była u was teściowa, z którą nie łączą pana najlepsze stosunki...

– W snack-barze na Wielkich Bulwarach...

– Potrafi pan wskazać ten bar?

– Może.

– Nie pił pan?

– Wypijam tylko szklanę wina przy posiłku...

– A zatem nie był pan u Pharamonda?...

Maigret skinął na Torrence'a, Torrence wprowadził mężczyznę lat około pięćdziesięciu, w czarnym ubraniu.

– Proszę usiąść, panie Genlis.

– W moim zawodzie występuję częściej jako Robert.

– Zechce nas pan poinformować, co to za zawód?

– Jestem zastępcą kierownika sali u Pharamonda.

– I zapewne dlatego musi pan mieć na oku wszystkich wchodzących i wychodzących gości?

- To przeważnie ja wybieram dla nich stolik.
- Widzi pan tutaj kogoś znajomego?
- Tak.
- Obrócił się do Mahossiera, który nieco przybladł.
- Kiedy widział go pan po raz ostatni?
- Widziałem go tylko raz, w poniedziałek wieczorem. Był sam, co rzadko się zdarza naszym gościom. Zjadł dość szybko i to ja otwierałem mu drzwi, kiedy wychodził.
- Zgadza się pan z tym, panie Mahossier?
- Od lat z górą dziesięciu noga moja nie postąpiła u Pharamonda. Ten człowiek widział mnie rzekomo tylko raz i w sali pełnej ludzi.
- Skąd pan wie, że było tam pełno ludzi?
- Tak przypuszczam... Ze względu na renomę Pharamonda...
- Proszę zauważyć – wtrącił maître d'hôtel – że nie zawsze trafia się wśród klientów ktoś tak wysoki i tak chudy...
- Ma pan pytania, mecenasie?
- Żadnych. Rezerwuję wszystkie na czas, kiedy sędzia śledczy podejmie oficjalne dochodzenie.
- Dziękuję, panie Genlis. Nie zatrzymuję pana dłużej.
- Są jeszcze jacyś świadkowie, komisarzu?
- W tej sprawie to już wszystko na dzisiaj.
- Adwokat podniósł się z widoczną ulgą.
- Przejdziemy obecnie do drugiej sprawy.
- Jest jakaś druga sprawa? Nie wystarczy oskarżanie mego klienta o zabicie kloszarda, którego nigdy w życiu nie spotkał?
- Ale tym razem Mahossier pobladł, przez co obwódki wokół jego oczu ściemniały i pogłębiły się zmarszczki w obu kącikach zaciśniętych ust.
- Słuchamy – rzekł mecenas.
- Mahossier, przypomina pan sobie dzień szóstego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku?
- Nic nie pamiętam. Dlaczego miałbym pamiętać? Pewnie pracowałem jak każdego innego dnia, bo wówczas harowałem bez urlopów, żeby odłożyć trochę pieniędzy.
- Zatrudniała pana firma Lesage i Gélot?
- Tak jest.
- Wydawał się zaskoczony, niespokojny.
- I często jeździł pan furgonetką oznakowaną tymi dwoma nazwiskami?
- Tak, dość często.

– Szósteo sierpnia przewoził pan bańki z farbą dla kolegów pracujących na ulicy Courcelles.

– Nie przypominam sobie.

– Mam tu oświadczenie, które złożył pan komisarzowi Piedboeuf. Spodziewam się, że nie zaprzeczy pan, iż był kilkakrotnie przez komisarza przesłuchiwany?

I Maigret pokazał mu dossier.

– Co chce pan udowodnić?

– Gdzie pan wtedy mieszkał?

– Jakże mogę to pamiętać? Często zmieniałem hotele.

– Przypomnę panu... Mieszkał pan w hotelu Jonarda na placu des Abbesses. Wie pan, kto również mieszkał w tym hotelu?

– Nikogo tam nie znałem.

– Spotkał go pan znów po dwudziestu latach koło Hal. Mówię o Marcelu Vivien, którego kochanką była Nina Lassave.

– To mnie nie dotyczy.

– Owszem, dotyczy to pana. Dziewczyna nieraz odwiedzała Viviena. Nie wiem, czy pan ją śledził, ale dozorczyńni pana poznała i zapewniła, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy bywał pan często w jej mieszkaniu.

– Jest tutaj ta dozorczyńni? – spytał mecenas Loiseau.

– Zmarła przed wielu laty w rodzinnej wiosce...

– Innymi słowy nie może świadczyć, co jest panu na rękę, komisarzu. Przedstawił nam pan dotychczas parę brudnych, otepiałych alkoholików i kelnera żyjącego z napiwków, a teraz mamy nieboszczkę. Kim będą następni?

– Wszystko w swoim czasie – mruknął Maigret nabijając fajkę.

Rozdział 7

Adwokat spojrział na swój zegarek, który zgodnie z zegarkiem Maigreta powinien był wskazywać szóstą dziesiątą; młody jeszcze, ale usiłujący dodać sobie ważności, Loiseau szybko zerwał się z krzesła.

– Skończył pan przesłuchiwać mego klienta, komisarzy?

– Sam nie wiem.

– Muszę już iść, za dwadzieścia minut mam u siebie spotkanie, na które nie mogę się spóźnić.

Komisarz zrobił niewyraźny gest, jakby mówił: „To pańska sprawa”.

– Dam panu dobrą radę – rzekł Loiseau do Mahossiera. – Jeśli będą jeszcze zadawać pytania, niech pan nie odpowiada. Ma pan do tego pełne prawo. Nikt nie może zmusić pana do mówienia.

Mahossier siedział bez ruchu. Spokojniejszy teraz, mniej agresywny. Jak gdyby zaczynał zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji i rozumiał ponadto, że adwokatowi zależy tylko na podkreśleniu własnej ważności.

Toteż mecenas Loiseau tak jak wszedł, tak i wyszedł z gabinetu godnym krokiem.

– Dobra rada – mruknął jakby od niechcenia Maigret. – Jeśli postawią pana przed ławą przysięgłych, to niech pan zmieni obrońcę. Ten pański adwokat źle usposobi sąsiadów i ławników...

I dorzucił:

– Istotnie przysługuje panu prawo do nieudzielania odpowiedzi, ale wielu ludzi uzna to za pewną wskazówkę, o ile nie za dowód winy. Nie zadam już panu żadnych pytań. To ja będę mówił, a pan może mi przerywać, kiedy tylko zechce...

Ze skupieniem obserwował Mahossiera. Odnosił wrażenie, że nie jest on tak napastliwy jak w La Baule i jak tutaj na początku przesłuchania. Przypominał duże dziecko, które jeszcze się boczy, choć straciło na to ochotę.

– Komisarz Piedboeuf był znakomitym policjantem i nie upierał się, by za wszelką cenę dowieść swoich racji. Czy rzeczywiście Nina Lassave miała ciemne znamię na lewym policzku?

– To pułapka?

– Bynajmniej. Z akt sporządzonych przez mego kolegę wynika dostatecznie jasno, że był pan kochankiem tej dziewczyny.

– Konsjerżka umarła.

– Ale jej zeznania pozostały. Znalazłem tu sprawozdanie z konfrontacji... Zapytał pan w sposób wyzywający: „Skąd zna pani moje nazwisko?” Był pan przekonany, że pytanie ją speszy. A oto co powiedziała: „Raz kiedyś po południu siedziałam w dozorcówce z przyjaciółką, bo ona czasem wpada do mnie na podwieczorek. Mogę podać jej nazwisko i adres. No i wtedy ten człowiek (wskazuje na pana) wszedł do sieni i obie widziałyśmy go całkiem wyraźnie przez szybę w drzwiach. Wtedy ona zdziwiła się: «Toż to przecie mój malarz. Odnawia mi kuchnię i kładzie tapety w jadalni. Nazywa się Louis Mahossier, pracuje w przedsiębiorstwie na bulwarze Batignolles...»,. Przyjaciółka konsjerżki, Lucile Gosset, była również przesłuchiwana i powtórzyła dokładnie tę rozmowę. Dzięki niej zresztą udało się pana tak szybko odnaleźć. Około czwartej po południu, w dniu, kiedy uduszona została Nina Lassave, pracował pan na ulicy Ballu, w mieszkaniu wdowy Gosset. Kobieta wyszła na miasto po zakupy. A pan w tym czasie...

Mahossier słuchał ze zmarszczonymi brwiami. Zapewne starał się usilnie coś zrozumieć.

– Mogę panu odczytać zeznania konsjerżki. Poszła na górę, żeby zanieść przyniesiony przez listonosza list ekspresowy dla lokatorki z trzeciego piętra. Gdy schodziła na dół, minęła pana idącego do mieszkania Niny. Wciąż pan temu zaprzecza?

Mahossier nie odzywał się. W miarę jak Maigret mówił, uspokajał się, nadal jednak był spięty.

– Wy dwaj szaleliście za tą dziewczyną. Nie wiem, co w niej było, że budziła aż takie namiętności. Vivien opuścił dla niej żonę i dziecko. A mimo to nie chciała z nim związać się na stałe. Nigdy nie spędziła całej nocy w jego towarzystwie. W pańskim zresztą też nie. Może to wpływ domowego wychowania...

Maigret mówił głosem lekko przytłumionym. Od czasu do czasu przewracał machinalnie kartki leżącego przed nim dossier.

– Wróćmy jeszcze do popołudnia, kiedy Nina została uduszona, Marcel Vivien przedstawił oczywiście swoje alibi, są w nim jednakże pewne luki...

Mahossier zerknął na komisarza z większym zainteresowaniem.

– Dziś rano trafiłem na notatkę, którą mój kolega Piedboeuf zrobił na marginesie akt. Przeczytam ją panu. „W dniu dzisiejszym zgłosił się dobrowolnie stary bywalec bistra na bulwarze de la Chapelle, niejaki Arthur Gilson, przezywany Drewnianą Nogą, bo z powodu sztywnego kolana wygląda, jakby miał sztuczną kończynę.

Utrzymuje on, będąc w stanie nietrzeźwym, że tamtego popołudnia Marcel Vivien wszedł do bistra około trzeciej trzydzieści, wypił jeden po drugim dwa kieliszki koniaku. Jest to tym dziwniejsze, że stolarz nigdy nic nie pił prócz kawy. Po czym, zdaniem tegoż Gilsona, skierował się w stronę bulwaru Rochechouart.”

Maigret zamilkł na chwilę i z napięciem wpatrywał się w Mahossiera.

– Powinienem od razu panu powiedzieć, że żadna z osób obecnych wtedy w bistro nie potwierdziła tego oświadczenia. A ściślej: właściciel przyznał, że tak było rzeczywiście, ale dopiero nazajutrz po śmierci Niny... Jeden ze świadków ma słuszość, drugi się myli. Mój kolega Piedboeuf zdawał się raczej wierzyć knajpiarzowi...

Mahossier nie mógł powstrzymać się od pytania.

– A pan?

– Skłonny byłbym uwierzyć Drewnianej Nodze. Był stary, ale bystry. Już nie żyje, dysponujemy tylko notatką komisarza Piedboeuf... Vivien od pół roku był kochankiem Niny i po zerwaniu z rodziną uważał ją za swoją kobietę... Spotkała pana i związała się z panem, nie zrywając z Vivieniem... A on rzadko ją odwiedzał popołudniami. Spędzał z nią natomiast wieczory po wspólnym posiłku w restauracji...

Rysy twarzy Mahossiera znów stwardniały.

– Podczas dochodzenia konsjerżka nie potrafiła przypomnieć sobie, czy krytycznego dnia widziała, jak Vivien wchodził i wychodził. Zapytana, czym się o tej porze zajmowała, odrzekła, że robiła na drutach siedząc przy oknie i słuchając radia. Nie mogła więc ze swego miejsca widzieć, kto idzie korytarzem.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Że podejrzewam Viviena o zabicie kochanki, która była jednocześnie pańską kochanką. Może zauważył, jak pan wychodził od niej? Tego się nigdy nie dowiemy. Wiemy tylko, że był głęboko upokorzony, dosłownie zdruzgotany... Może nie poszedł na bulwar Rochechouart, żeby ją zabić, nie wziął przecież z sobą żadnej broni. Może chciał jedynie przyłapać was razem... Zastał ją leżącą na łóżku, nagą. Dla kogo się rozebrała, skoro nie spodziewała się jego wizyty? Sądził, że wszystko dla niej poświęcił. Wstydział się, że zostawił żonę i córkę bez środków na utrzymanie. A tymczasem ona zdradziła go z pierwszym lepszym... Nie wiadomo, co sobie powiedzieli. W każdym razie Nina Lassave nie zdołała go uspokoić. Nie bała się, świadczy o tym pozycja, w jakiej ją znaleziono... Był z pewnością zanadto wzburzony, aby się wahać. Uduślił ją. W jednej chwili przekreślił całe swoje życie. Powrót na ulicę Caulaincourt, a nawet do warsztatu na ulicy Lepic wydawał mu się niemożliwy... Nic go już nie interesowało. Może nie miałyby nic przeciw temu, żeby obarczono pana jego zbrodnią...

– Co się poniekąd stało i pan mnie początkowo obciążał... Stale panu

powtarzałem, że nie ja ją zabiłem...

– Kiedy dowiedział się pan, że ona nie żyje?

– Kwadrans później. Zobaczyłem Viviena, który pospiesznie wyszedł z jej domu i prawie biegiem puścił się w stronę placu Blanche. Wzięła mnie ochota, żeby zapytać Niny, co go tutaj tak wcześniej przywiodło. I właśnie wtedy na schodach spotkałem konsjerżkę. Drzwi do mieszkania Niny były półotwarte. To mi się wydało podejrzane... I nagle zobaczyłem jej ciało... Pomyślałem wtedy o odciskach palców, wycierałem wszystko, czego się nawet wcześniej dotykałem... Przy okazji musiałem chyba zetrzeć odciski Viviena...

– Dlaczego pan go nie oskarżył?

– Bo postanowiłem sam go ukarać...

Biedny Torrence wysiłał się, żeby nadażyć za szybkim tempem dialogu, w który przekształcił się monolog Maigreta.

Komisarz obrał właściwy ton i Mahossier pozbył się swojej sztywności.

– Tak bardzo był pan w niej zakochany?

– To jedyna kobieta, którą naprawdę kochałem...

– A ta, którą pan poślubił?

– Bardzo ją lubię. Chyba i ona mnie lubi, ale i z jej strony nie ma wielkiej miłości...

– Dwadzieścia lat minęło, panie Mahossier.

– Wiem. Ale nie przestaję o niej myśleć.

– Nie sądzi pan, że z Vivieniem było podobnie? Kochał ją z tą samą pasją i tej pasji starczyło mu, by zabić. Nie próbował naprawić swego życia. Wolał od razu stoczyć się na dno. To ten kloszard, którego przypadkiem spotkał pan po dwudziestu latach...

Rozdział 8

Mahossier milczał wpatrzony w swoje buty. Znikła gdzieś jego arogancja, stał się bardziej ludzki.

– Przeżył pan dwadzieścia pomyślnych lat...

Rzucił okiem na Maigreta, wąskie wargi rozciągnęły mu się w pełnym ironii uśmiechu.

– Nie zabiłem jej, to prawda. Niemniej przyczyniłem się do jej śmierci...

– Dużo pan pracował, oszczędzał. Zdołał się pan usamodzielnąć, wiodło się panu w interesach... Ma pan ładną, miłą żonę... Zajmuje pan wspaniały apartament, kupił pan willę w La Baule... I postawił pan to wszystko na jedną kartę zabijając człowieka, którego nie widział pan przez lat dwadzieścia, człowieka, który się w tym czasie wykoleił...

– Przysięgłem sobie, że go ukarzę.

– Nie mógł pan zostawić ten trud organom sprawiedliwości?

– Tłumaczyłby się zbrodnią w afekcie i dostałby niewielki wyrok. Byłby już od dawna na wolności.

– Pański adwokat również będzie wnosił o uznanie zbrodni w afekcie.

– Teraz mi wszystko jedno... Wczoraj byłem zdecydowany bronić się, zaprzeczać...

– Zarzuty, cokolwiek by pan o nich sądził, są zbyt ciężkie...

Zadzwoił telefon.

– Tu Ascan z jedyńki. Jak idzie?

– Bardzo dobrze. Od przeszło dwóch godzin mam tu w gabinecie Mahossiera.

– Zeznaje?

– Tak.

– Choćby nie chciał i tak musiałby się przyznać. Dzieciaki, które bawiły się na zaśmieconym terenie koło zrujnowanej kamienicy, gdzie Vivien miał swoją melinę, przyniosły mi pistolet. Kaliber trzydzieści dwa. W magazynku brakuje trzech kul. Jeden z moich ludzi jest już w drodze, odda panu broń do rąk własnych.

– Będzie to dowód uzupełniający.

– Zabił również Ninę Lassave?

– Nie.

– A kto? Vivien?

– Tak...

– To znaczy, że po dwudziestu latach Mahossier zachował dla Niny dość uczucia, żeby ją pomścić?

– Tak... Dziękuję, Ascan. Jestem panu niesłychanie zobowiązany. W gruncie rzeczy to pan i pańscy chłopcy przeprowadziliście większość dochodzenia...

– Przesadza pan... Zostawiam pana z pańskim rozmówcą...

Ów rozmówca usiłował coś z tego pochwycić, ale wypowiedzi Maigreta były pozbawione sensu, skoro nie słyszało się tego, co mówił Ascan.

– Szukał go pan w Paryżu przez dwadzieścia ostatnich lat?

– Nie szukałem systematycznie... Obserwowałem przechodniów. Byłem pewny, nie wiem dlaczego, że natknę się na niego prędzej czy później. Wybrałem się na kolację do Pharamonda. Do Hal doszedłem pieszo. Restauracja przywiodła mi na pamięć stare dzieje, kiedy taki lokal wydawał mi się szczytem luksusu, dla mnie całkiem nieosiągalnym... Wszedłem, usiadłem przy stoliku sam... Teściowa nie cierpi mnie i stale mi dokucza... Ma mi za złe, że zaczynałem jako zwykły malarz pokojowy... Dowiedziała się też, że urodziłem się na przedmieściu Belleville i że nie miałem ojca...

W kilka minut później zapukał do gabinetu stary woźny Joseph.

– Inspektor z jedyńki chce panu oddać jakąś przesyłkę do rąk własnych.

– Niech wejdzie.

Inspektor był młody, ruchliwy.

– Staralem się możliwie najszybciej, panie komisarzu... Kazano mi doręczyć to panu...

I podał Maigretowi paczkę owiniętą w papier pakowy, wymięty i miejscami naddarty. Łypnął ciekawie na Mahossiera.

– Nie jestem już panu potrzebny?

– Właściwie nie. Dziękuję...

Po wyjściu inspektora Maigret otworzył paczkę.

– To pański pistolet?

– W każdym razie podobny do mojego.

– Widzi pan zatem, że nawet bez pańskich zeznań doszlibyśmy prawdy. Pociski, które w nim pozostały, porównamy z tymi, które utkwily w piersi Viviena... Tak bardzo bał się pan, że go pochwyca z bronią w kieszeni, że chciał się jej pan natychmiast pozbyć... więc rzucił pan pistolet na wysypisko...

Mahossier wzruszył ramionami.

– Dałem kloszardowi pięć franków, to prawda. Zauważyłem także tę grubą kobietę... wyglądało, że jest całkiem pijana... Rozpoznałem Viviena... znosił skrzynie z jarzynami... i na nowo ogarnęła mnie wściekłość... wróciłem do domu po pistolet... Czekałem w ciemności. Bardzo długo, bo nadjechała jeszcze jedna ciężarówka i on razem z innymi najął się do rozładunku.

– Pańska nienawiść nie osłabła?

– Nie. Czułem, że spełniam mój obowiązek.

– Wobec Niny?

– Tak... Poza tym ten człowiek, Vivien, wydawał się być zadowolony z życia. Czy nie z własnej woli został kloszardem?... Można by przysiąc, że to mu zapewniło spokój, i dlatego wpadłem w furję...

– Czekał pan aż do trzeciej w nocy?

– Niezupełnie... Do drugiej trzydzieści... Poszedłem za nim, kiedy ruszył w stronę zaułka Vieux-Four... Pijaczka spod Hal leżała na jakimś progu, byłem pewny, że śpi zamoczona winem. Nawet nie pomyślałem, że może okazać się niebezpieczna... Mecenasa Loiseau rozłościła ta moja spowiedź, ale jest mi to obojętne... Zobaczyłem, jak Vivien wchodzi do tej kamienicy... Wszedłem tuż za nim na klatkę schodową, słyszałem, jak zamyka na górze drzwi. Blisko pół godziny przesiedziałem na stopniu schodów...

– Chciał pan, by zasnął?

– Nie. Tylko nie mogłem się zdecydować.

– I, ostatecznie, co zdecydowało?

– Myśl o Ninie, ściślej mówiąc o małym ciemnym znamieniu na jej policzku, co nadawało jej wygląd wzruszający...

– Obudził się?

– Po pierwszym strzale. Otworzył oczy, był jakby zdziwiony. Nie wiem, czy mnie poznał...

– Nic mu pan nie powiedział?

– Nic. Może i żałowałem, że przyszedłem, ale już było za późno. Strzeliłem jeszcze dwa razy, tylko po to, żeby nie cierpiał, może mi pan wierzyć albo nie wierzyć...

– Usiłował pan z tego wybrnąć?

– Tak jest. Myślę, że to naturalne. Vivien także nie zgłosił się na policję po zabiciu swojej kochanki...

Kiedy wymawiał ostatnie słowa, skurcz przebiegł mu po twarzy. Raz jeszcze wzruszył ramionami.

– A co z panią Vivien?

– Wciąż mieszka w tym samym domu na Caulaincourt, w mniejszym lokalu, i zarabia szcziem. Nie narzeka, zdaje się, na brak klientek.

– Miał córkę, prawda?

– Wyszła za mąż, wychowuje dwoje dzieci.

– Chyba bardzo nie cierpią?

Maigret wolał milczeć.

– Co ze mną zrobicie?

– Teraz wróci pan do celi. Jutro przesłucha pana sędzia śledczy, który przypuszczalnie podpisze nakaz aresztowania. Kiedy skończy się dochodzenie, przeniosą pana niewątpliwie do więzienia Santé, a stamtąd pewnie do Fresnes, gdzie pozostanie pan aż do dnia procesu.

– Nie zobaczę się z żoną?

– Nie... przez jakiś czas.

– Kiedy prasa poda o moim aresztowaniu?

– Jutro. Ale jeden z dziennikarzy i fotograf już czekają na korytarzu.

Maigret był trochę zmęczony. On także rozluźnił się i teraz owładnęło nim uczucie pustki. Mówił głosem stłumionym. Nie miał miny triumfatora, a jednak doznawał ulgi.

Zamiast jednego zdemaskował dwóch zbrodniarzy. Czy nie do tego zmierzał nieświadomie?

– Mam do pana prośbę, którą pewnie będzie pan musiał odrzucić. Chciałbym, aby o tym, co mnie spotkało, moja żona nie dowiedziała się z gazet ani zwłaszcza telefonicznie od swojej matki czy jakiejś przyjaciółki. Powinna być teraz na obiedzie w „Pins Parasols”. Jestem przekonany, że ją tam zastanę...

– Numer telefonu?

– Sto dwadzieścia cztery.

– Halo, zechce pani połączyć mnie z La Baule sto dwadzieścia cztery. Pilne, tak...

To jemu, Maigretowi, pilno było odzyskać wolność. Trzy minuty później otrzymał połączenie.

– Willa „Pins Parasols”?

– Tak.

– Pani Mahossier? Tu Maigret. Pani mąż jest w moim gabinecie i chciałby z panią pomówić.

Maigret zbliżył się do okna i stanął przy nim, pykając raz po raz z fajki.

– Tak, jestem w biurze Policji Kryminalnej. Jesteś sama?

– Ze służącą.

– Słuchaj mnie uważnie... Przygotuj się na ciężki cios...

– Tak myślisz?

- Tak. Przed chwilą zeznawałem. Nie mogłem postąpić inaczej.
- Wbrew oczekiwaniom Mahossiera żona zachowała spokój.
- Oba?
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Oba zabójstwa?
- Na bulwarze Rochechouart to nie ja, to Vivien...
- Przeczuwałam... A kiedy zobaczyłeś go po dwudziestu latach, wróciła ci cała twoja zazdrość...
- Wiedziałaś o tym?
- Od razu tak pomyślałam.
- Dlaczego?
- Bo znam ciebie...
- Co zamierzasz?
- Zostanę tutaj do końca wakacji, jeśli nie wezwie mnie sędzia śledczy. Potem nie wiem, co zrobię. Nigdy nie kochaliśmy się nadmiernie... Słowem, byłam tylko zastępczynią... Matka prawdopodobnie będzie nalegała na rozwód...
- Oo!
- Jesteś zaskoczony?
- Nie. Rzeczywiście... Do widzenia, Odette.
- Do widzenia, Louis...

Odkładając słuchawkę, niemalże słaniał się na nogach. Nie przewidział, że ta rozmowa telefoniczna przybierze taki obrót. Nie chodziło jedynie o to, co sobie powiedzieli, ale o to, co z tego wynikało; w ciągu paru minut runęło piętnaście lat jego życia.

Maigret otworzył swoją szafkę ścienną, nalał kieliszeczek koniaku.

– Proszę to wypić...

Mahossier wahał się, patrząc ze zdziwieniem na komisarza.

– Nie wiedziałem... – wyjąkał.

– Że pańska żona odgadła?

– Że zażąda rozwodu...

– A pan chciałby, żeby co zrobiła? Czekala na pana?

– Już nic nie rozumiem...

Jednym haustem wypił koniak i zakasłał. I wciąż nie siadając szepnął:

– Dziękuję, że mnie pan nie ponaglał...

– Torrence, zaprowadź go do aresztu...

Gruby Torrence był wyraźnie wstrząśnięty. Mahossier czekając, by go wyprowadzono, stał pośrodku gabinetu. Dziwne, ale nie wydawał się już tak wysoki; twarz jego o zatartych rysach wyglądała wręcz banalnie.

Zrobił gest, jakby chciał wyciągnąć rękę, ale się pohamował.

– Do widzenia, komisarzu.

– Do widzenia...

Maigret czuł się ociężale. Wolnym krokiem przemierzał wzdłuż i wszerz gabinet aż do powrotu Torrence'a.

– Chyba się wzruszyłem w pewnym momencie – wyznał Torrence.

– Masz ochotę na szklaneczkę w Brasserie Dauphine?

– Chętnie...

Z Quai de Orfevres ruszyli piechotą do znajomego baru. Było tam kilku inspektorów, tylko jeden z brygady kryminalnej.

– Co podać, panie komisarzu? – spytał barman.

– Duże małe. Największe, jakie macie...

Torrence zamówił to samo. Maigret wypił duszkiem swoje piwo i pustą szklanekę podsunął barmanowi do napełnienia.

– W taki dzień jak dzisiaj tylko by się piło i piło...

A Maigret jakby machinalnie powtarzał słowa, których sens do niego nie dotarł:

– Tak, tylko by się piło i piło.

Do domu pojechał taksówką.

– Właśnie zastanawiałam się, czy zdążysz na kolację...

Osunął się na swój fotel i otarł pot.

– Dla mnie sprawa skończona...

– Ujęto winnego?

– Tak.

– To ten, którego szukałeś w La Baule?

– Tak.

– Nie chcesz, żebyśmy poszli do restauracji? Mam tylko mięso na zimno i sałatkę jarzynową...

– Nie jestem głodny...

– Nakryłam do stołu, może jednak coś zjesz...

Tego wieczoru nie oglądał telewizji, położył się spać o dziewiątej.

Épalinges, 7 lutego 1971